





LVIGI PIRANDELLO



CZERWONCI
Książeczka



Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

A-3350



001-0003675--00

LUIGI PIRANDELLO

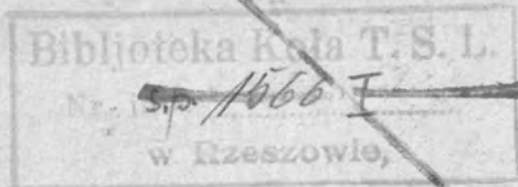
CZERWONA KSIĄŻECZKA

*i inne opowiadania
współczesnych autorów włoskich*

w przekładzie STELLI OLGIERD



WYDAWNICTWO „BIBLIOTEKI GROSZOWEJ”



821. 131.1-3

BIBLIOTEKA GROSZOWA

WYDAWNICTWO TYGODNIOWE

REDAKTOR H. ZAJĄCZKOWSKI

WYDAWCA BIBLIOTEKA GROSZOWA
S. z o. o.

WARSZAWA, ul. MONIUSZKI 11.

73619 A-3350

WARUNKI PRENUMERATY:

3675 Z przesyłką pocztową kwartalnie Zł. 9 gr. 95.

Prenumeratę przyjmuje Administracja
Biblioteki Groszowej.

2521

10, -

15, -

Lulgi Pirandello

CZERWONA KSIĄŻECZKA

Nisias. — Duża wieś, rozrzucona na wąskim sopocie*), nad brzegiem morza, w Sycylii.

Urodzić się w złych warunkach nie jest wyłącznym przywilejem ludzi. Wsie również nie rodzą się, jak chcą, ani gdzie chcą, lecz tam, kędy jakaś konieczność naturalna stwarza życie. I gdy zbyt wielka rzesza ludzi, ściągniętych tą potrzebą, zbiegnie się w takie miejsce, gdy mnożą się tam w zbyt wielkiej ilości, gdy, wreszcie, miejsce to jest zanadto ograniczone, wynika, że wieś nie ma możliwości normalnego rozrostu.

Nisias, dla swego powiększenia, musiało się czeplić, dom za domem, wzdłuż ponurych, urwistych spadzistości wyżyny sąsiedniej, która, tuż za osadą, pochyla się groźnie ku morzu. Nisias mogło się rozpostrzeć wygodnie na tej wyżynie obszernej i słonecznej, ale musiałoby się natomiast oddalić od sopotu. I pewnego pięknego dnia ujrzałbyś, że

*) Sopot — znaczy plaża.

jakiś dom, osadzony siłą na górze, zeszedłby na sopot, ufryzowany dachówkami i mocno otulony szalem z tynku. A to dlatego, że na sopocie wre życie.

Na płaskowzgórzu ludzie z Nisias umieścili cmentarz. Umarli mają czem oddychać.

— Odetchniemy tam, na górze... — mówią ludzie z Nisias.

Mówią w ten sposób, ponieważ wdole, na sopocie, nie oddycha się wcale, wśród wrzaskliwego targu, pełnego kurzu, siarki, węgla, drzewa, zboża, salcesonów.. nie, nie oddycha się! Ci, którzy chcą odetchnąć, powinni pójść tam, wysoko; a idą tam po śmierci i wyobrażają sobie, że, gdy umrą, będą swobodnie oddychać.

To jest pociecha.

* * *

Należy być pobłażliwym dla mieszkańców Nisias, bo rzecz to wcale nie łatwa być uczciwym, gdy jesteś w tak fatalnem położeniu.

W tych ubogich domach, ściśniętych przy sobie, prawdziwych jamach dla dzikich zwierząt raczej, niż mieszkaniach ludzkich, fermentuje straszny odór, ciężki, wilgotny, cierpki, który psuje zwolna najtrwalszą cnotę. Aby dopomóc temu psuciu się cnoty, czyli, inaczej, aby zwiększyć ten odór, łażą po chacie prosięta i kury; ponadto dość często jest osiołek, który depcze po swym barłogu. Dym nie wie którądy uchodzić i zawisa nieruchomo w tych komórkach, czerniąc sufity i ściany. A zwysoka,

z marnych kolorowych bohomazów, sadzą zatłuszczonych, święci patroni, których powieszono na ścianach, wykrzywiają się z obrzydzeniem.

Mężczyźni zdają sobie mało sprawy z tego stanu rzeczy, złączeni w gromady i zbydlęceni, jak tylko być mogą, na rampach lub na statkach; kobiety są nawskroś nim przeniknięte, stają się jak wściekłe i, powiedziałby kto, że najlepszym środkiem, jaki znalazły dla usunięcia wściekłości, jest rodzenie dzieci.

To przerażające! Jedna ma dwanaścioro, inna czternaścioro, inna szesnaścioro... Prawda zresztą, że nie mogą wychować więcej dzieci nad troje lub czworo. Ale te, które umierają w pieluszkach, pomagają do wzrostu i zagospodarowania się trojgu lub czworgu, co je przeżyły, czyż trzeba mówić, szczęśliwszym lub nieszczęśliwszym od tamtych. Każda kobieta, w istocie, zaraz po śmierci dziecka, biegnie do domu podrzutków i bierze niemowlę, do którego dołączona jest czerwona książeczka, przynosząca sześć lirów miesięcznie w ciągu kilku lat.

W Nisias wszyscy kupcy, sprzedający płótno, i wogóle wszyscy blawatnicy są Maltańczykami. Nawet, gdy się urodzili na Sycylii, zowią ich: Maltańczycy. „Iść do Maltańczyka” — oznacza w Nisias iść zaopatrzyć się w płótno. I Maltańczycy, uzbrojeni w swe półmetrówki, robią w Nisias złote interesy: przywłaszczają sobie osławione czerwone książeczki; dają, wzamian jednej książeczki, za dwieście lirów towaru — wyprawę panny młodej. Dziewczęta w Nisias idą zamąż wszystkie w ten sposób,

dzięki czerwonym książeczkom dzieci z domu podrzutków. Matki dziewcząt z kolei, powinny wykarmić własną piersią tych podrzutków.

Jest to ładny widok, gdy w końcu każdego miesiąca, ta procesja Maltańczyków, brzuchatych i małomównych, w haftowanych pantoflach i kaszkiecie z czarnego jedwabiu, z dużą, czerwoną chustką w jednej ręce, a w drugiej z tabakierką rogową lub srebrną, zjawia się w merostwie Nisias; każdy ma siedem, dziesięć albo piętnaście tych czerwonych książeczek. Sadowią się rzędem na ławce, w długim, zakurzonym korytarzu, gdzie otwiera się okienko wypląt, i każdy czeka swej kolei, drzemiąc spokojnie, wpychając sobie tabakę do nosa, odpędzając muchy, spokojnie, zupełnie spokojnie. Wypląt miesięczna Maltańczykom pensji mamek jest na zawsze tradycyjna w Nisias.

— Marenga Rosa! — woła urzędnik.

— Obecna — odpowiada Maltańczyk.

* * *

Marenga Rosa z Nicolao jest słynną w merostwie Nisias. Oto więcej niż dwadzieścia lat, jak podtrzymuje lichwę Maltańczyków nieprzerwaną serją czerwonych książeczek.

Ile straciła dzieci w pieluszkach? Sama nie wie ich liczby. Wychowała z nich czworo—cztery córki. Trzy są już zamężne. A teraz zaręczyła czwartą.

Ale nie wie się już, prawdziwie, patrząc na nią, czy chodzi tu o kobietę, czy też o kupę szmat; doszło do tego, że Maltańczycy, do których zwróciła się po

wyprawę dla trzech starszych, odmówili jej kredytu dla ostatniej.

— Gnora Rosilla, nie wytrzymacie.

— Ja! nie wytrzymam, ja?

Uczuła się obrażoną w swej godności zwierzęcia, z rasy tak długo bardzo mleczonej i, ponieważ nie dyskutuje się z małomównymi Maltańczykami, wrzeszczała dziko u wrót ich sklepików.

Jeśli w przytułku powierzono jej podrzutka, czy to nie oznacza, że uznano ją za zdolną do wykarmienia go piersią?

Ale na ten argument Maltańczycy, za kontuarem swych sklepów, uśmiechali się pod wąsem, kiwając głową. Można przypuścić, że nie pokładali ufności w lekarzu i w zastępcy mera, którym powierzono czuwanie nad losem podrzutków. Ale nie. Maltańczycy wiedzą, że w oczach lekarza i zastępcy, zadanie matki, mającej córkę, którą trzeba zagospodarować, a która nie może inaczej tego dokonać, jak tylko zapomocą czerwonej książeczki, w inny sposób jest trudne i zasługuje na daleko więcej względów, niż wychowanie podrzutka: jeśli ten umrze, któż będzie się martwił? I kto będzie się skarżył, gdy znajdek cierpi?

Córka, to córka, niemowlę z przytułku, to niemowlę z przytułku. I zresztą, jeśli córka nie wyjdzie zamąż, należy się obawiać, że przyczyni się zkolei do zwiększenia liczby podrzutków, o które gmina będzie musiała się troszczyć w dalszym ciągu.

Ale jeśli śm erć podrzutka jest poniekąd zyskiem dla gminy, to w każdym razie jest ona złym inte-

resem dla Maltańczyka, nawet gdy uda mu się odebrać towar, dostarczony na kredyt. To też nie jest rzadkością widzieć w pewnych godzinach dnia, pod pozorem małej przechadzki, Maltańczyków, jak udają się na obchody wywiadowcze po brudnych uliczkach, które roją się od nagich dzieci, koloru ziemi, spalonych przez słońce, od prosiąt, koloru kredy, i od kur, gdzie od progu do progu chat paplają, a częściej klóćą się wszystkie te matki o czerwonych książeczkach.

Niemowlęta są ze strony Maltańczyków przedmiotem zupełnie tych samych starań, jak prosięta ze strony kobiet. Niektórzy Maltańczycy, u szczytu przestרחu, posunęli się do tego, że kazali własnym żonom dawać piersi codziennie po pół godziny niemowlętom zbyt wychudłym.

Idźmy dalej. Rosa Marenga znalazła wreszcie Maltańczyka drugiego rzędu, małego, początkującego Maltańczyka, który obiecał dać zgóry, w kilku ratach, nie, jak zwykle, za dwieście lirów towaru, ale tylko za sto czterdzieści. Narzeczony i jego rodzice zadowoleni byli i z tego i zdecydowano się na ślub.

I teraz niemowlę zgłodniałe, w jakimś rodzaju worka, naciągniętego na obręcz z wikliny, zacze-pionego dwoma sznurkami w kącie nory, wyje od rana do wieczora, gdy tymczasem córka Rosy Marenga, Tuzza, narzeczona, „kochą się” ze swym kawalerem, śmieje się, szyje sobie wyprawę i od czasu do czasu pociąga za sznurek, zawieszony u tej prymitywnej kolebki, którą kołysze.

— La, la, ładny mały, la, la... Panno Święta, jakież z tego dzieciaka „retyk”.

„Retyk” pochodzi od heretyk i oznacza istotę niespokojną, łatwo zapalającą się gniewem, nudną, zrzedliwą. Nie można zaprzeczyć, że jest to właśnie dla chrześcijan grzeczny sposób sądzenia heretyków. Odrobina mleka i to dzieciątko stałoby się natychmiast chrześcijaninem! Ale matka Rosa ma tak mało mleka...

Tuzza musi zrezygnować i iść do ślubu przy odgłosie tych krzyków rozpaczliwych. Gdyby nie to, że miała wyjść zamaż, matka Rosa, tym razem z ręką na sercu, nie byłaby wzięła niemowlęcia z domu podrzutek. Tylko dla Tuzzy je wzięła; dla Tuzzy mały płacze, aby się mogła „kochać”. A miłość ma tyle mocy, że pozwala nie słyszeć krzyków zgłodniałego.

Narzeczony, który w porcie wyładowuje statki, przychodzi wieczorem po ukończeniu roboty i, jeśli noc jest piękna, matka, córka, narzeczony idą na wzgórze, aby oddychać świeżem powietrzem przy świetle księżyca; niemowlę pozostaje samo pociemku, w zamkniętej norze, by wrzeszczeć, zawieszony w czymś, co wygląda niby na kołyskę. Sąsiedzi słyszą to ze znużeniem, ze złością, ze ściśnionem sercem i przez litość wszyscy zgadzają się na jedno: że życzą dziecku rychłej śmierci. Ale, bo też te wycia nieprzerwane są w stanie zatrzymać oddech w piersi.

Sam prosiak źle się czuje z tego powodu, chra-

pie i chrząka. Zebrane pod piecem kury są przerażone.

Co szepczą kury pomiędzy sobą?

Wiele z nich wysiedziało już kurczęta i kiedyś doznawały przestrachu, wówczas, gdy wzywało je zdaleka jakieś zablakane kurczątko. Bijąc skrzydłami, z nastroszonym grzebieniem, rzucały się we wszystkich kierunkach i nie zatrzymały się, dopóki go nie odnalazły. Jakżeż to się stało, że matka tego małego, który na pewno zablądził, nie nadbiegła na te wołania rozpaczliwe.

Kury są takie głupie; wysiadują jajka, zniesione nawet przez inne, i wtedy, gdy z tych jajek lęgną się kurczęta, nie umieją ich odróżnić od tych, które wyszły z ich własnych jajek, kochają je i wychowują z takim samym staraniem. Zresztą one nie wiedzą, że kurczęta ludzkie nie zadawałniają się ciepłem matczynym, lecz, że im potrzeba jeszcze mleka. Prosię wie o tem dobrze, ono, które też potrzebowało mleka i które je miało, o! które go miało tyle dlatego, że jego matka, chociaż była tylko świnią, dawała mu mleko dniem i nocą, z całego serca tyle, ile chciało. Dlatego też prosię nie może sobie wyobrazić, żeby można było tak krzyczeć z powodu braku mleka i, kręcąc się w swojej ciemnej jamie, protestuje chrząkaniem nażartego prosiaka przeciwko małemu, zawieszonemu w kołysce, i dla niego też „retykowi”.

Daj spokój, mały, pozwól drzemać tłusciutkiemu prosiakowi, który jest śpiący; pozwól drzemać kurom i sąsiadom. Bądź przekonany, że twa matka Rosa

dałaby ci swego mleka, gdyby je miała; lecz ona go nie ma. Jeżeli twoja prawdziwa matka nie miała litości nad tobą, twoja matka nieznaną, jakże ty chcesz, żeby się teraz ta obca litowała nad tobą? Litość jej potrzebna dla własnej córki. Pozwól jej więc zaczerpnąć powietrza tam, na górze, po ciężkim dniu twardego trudu, i cieszyć się z zadowolenia swej zakochanej córki, która przechadza się przy świetle księżycy u boku swego narzeczonego. Gdybyś ty wiedział, jaką świetlaną zaslone, utkaną z rosy i rozśpiewaną srebrzystymi trelami, księżyc rozpościera nad nimi! odruchowo, w tem miłym oczarowaniu, nieskończone pragnienie dobroci rozkwita w jej sercu, a Tuzza obiecuje sobie kochać bardzo swe dzieci.

Uspokój się, biedny mały, zrób sobie smoczek ze swego małego palca i ssij go, tak, ssij go i zasnij. Twój mały palec? O! mój Boże! cóżeś ty zrobił? Wielki palec lewej ręki stał się tak wielkim, że jeszcze trochę, a nie wszedłby ci do buzi: stał się olbrzymi, ten palec twojej słabiutkiej, zeszywniałej i zmarzniętej małej rączki, sam jeden jest olbrzymi w całym twym wątlęm ciele. Z wielkim palcem w buzi, powiedziałby kto, że sam siebie cały wessałeś, nie zostawiwszy nic więcej, jak tylko skórę na kościach twego szkieletu. Ale jakżeż to, gdzie znajdujesz jeszcze siłę, by wyć tak, jak ty to robisz?

* * *

Co za cud! Powróciwszy z pod światła księżycy, matka, córka, narzeczoney znajdują tego wieczora w swem legowisku głębokie milczenie.

— Zamilknijcie, proszę! — poleca matka narzeczonym, którzy chcieliby dopóżna jeszcze rozmawiać na progu drzwi.

Zamilknijmy, tak! ale Tuzza nie może powstrzymać śmieszku z pewnych słówek, które narzeczony jej szepcze do ucha... Słowa czy pocałunki? Z braku światła można się co do tego pomylić.

Matka Rosa weszła do nory, zbliżyła się do kołyski, nadstawia ucha. Cisza. Promień księżycy rozciągnął się na ziemi, jak widmo, w cieniu drzwi aż pod sam piec, gdzie gnieźdzą się kury. Niektórym to przeszkadza i wrzeszcza tam pod spodem. Do diabła! i do diabła stary mąż, który wraca z szynku, pijany, jak zwykle, i potyka się na progu, chcąc ominąć narzeczonych.

To dziwne. Żaden hałas nie budzi małego. A jednak ma on taki lekki sen, że dość lotu muchy, by się obudził. Matka Rosa jest przerażona, zapala lampę, zagląda do kołyski, wyciąga ostrożnie rękę, dłonią dotyka czoła dzieciątka i nagle wydaje krzyk.

Tuzza przybiega, ale narzeczony pozostaje zmieszany i oniemiały przed drzwiami. Co krzyczy do niego matka Rosa? Aby przyszedł odwiązać natychmiast jeden ze sznurków, które w kącie podtrzymują kołyskę! i pocóż to?

Dalej, prędko, prędko! Wie ona dobrze dlaczego, matka Rosa! Ale młody człowiek, zmrożony nagle śmiertelnym milczeniem małego, jest niezdolny uczynić ani kroku i pozostaje na progu, patrząc, zmieszany i ponury. Więc matka Rosa, nim nad-

biegną sąsiedzi, wskakuje na krzesło i odwiązuje sznur, krzycząc na Tuzzę, by ubrała małego trupa.

— Co za nieszczęście! Co za nieszczęście! Sznuręk się odwiązał, któż wie jak? Odwiązał się, a mały wypadł z kołyski i umarł! Znalezione go nieżywego na ziemi, zimnego i zeszywniałego! Co za nieszczęście! Co za nieszczęście!

Całą noc, nawet po odejściu ostatnich sąsiadów, których ściągnęły jej krzyki, Rosa nie przestaje płakać i wycić; i zaledwie następny dzień się zaczął, już zaczyna opowiadać o nieszczęściu wszystkim, co się pokażą na progu.

Upadł, jakże to? nie ma żadnej rany ten trupek, ani sińca, ani zadraśnięcia. Jest tylko tak chudy, że to aż przyprawia o drżenie, i u lewej ręki ten palec, ten olbrzymi duży palec!

Lekarz umarłych, po wizycie odchodzi, wzruszając ramionami i krzywiąc się. Jednogłośnie wszyscy sąsiedzi stwierdzają, że dziecko umarło z głodu.

Co się tyczy narzeczonego, który wie przecież w jakiej trwodze szamocze się Tuzza, ten stał się niewidzialny. Natomiast przychodzą bez hałasu, z wargami zesnurowanemi, lodowate, matka młodego człowieka i jego siostra zamężna, ażeby być świadkami sceny z Maltańczykiem, który wpada z wściekłością do nory, ażeby odebrać towary, dostarczone na kredyt. Rosa Marenga krzyczy do ochrypnięcia, wrywa sobie włosy, bije się pięścią po twarzy i piersiach, odkrywa swoją pierś, ażeby pokazać, że jeszcze ma mleko, wzywa litości, zmiłowania dla swej córki; niech jej dadzą przynaj-

mniej termin do wieczora, by mogła pobiec do me-
ra, do zastępcy, do doktora domu podrzutków,
przez litość, przez litość!

I ucieka, krzycząc w ten sposób, z włosami roz-
wianemi, z rękami, wzniesionemi ku niebu, a wślad
za nią idą gwizdania i syki urwisów.

Wszyscy sąsiedzi, w których się aż gotuje, stają
na progu, okrążają małego Maltańczyka, który czu-
wa na straży przy swoich towarach, matkę i siostrę
narzeczonego, które chcą widzieć, jak ta historia
się skończy.

Jedna miłosierna sąsiadka weszła do domu, myje
i ubiera trupka, a pomaga jej Tuzza, która wysila
oczy, by płakały.

Oczekiwanie przedłuża się, sąsiedzi nudzą się,
rodzice narzeczonego także, i wszyscy wracają do
siebie. Jedynie mały Maltańczyk pozostaje tam na
straży, niewzruszony.

Cały ten tłum zbiera się na nowo przed drzwia-
mi z zapadnięciem nocy, gdy tymczasem przybywa
karawan, który ma przewieźć małego nieboszczyka
na cmentarz.

Już go włożono do trumienki sosnowej, podnie-
siono, aby na wóz położyć, gdy, wpośród krzyków
osłupiałego tłumu, do których mieszają się wymy-
sły i gwizdki, ukazuje się w triumfie, rozpromie-
niona Rosa Marenga z innem niemowlęciem w ra-
mionach.

— Oto jest, oto jest! — krzyczy zdaleka, pokazując
je swej córce, która poprzez łzy uśmiecha się, gdy
karawan zwolna sunie ku cmentarzowi.



Luigi Pirandello

OBOWIĄZEK LEKARZA

— Moje są, mojej! — myślała Adrijanna, słuchając szczebiotu dwojga dzieci, które bawiły się w pokoju sąsiednim, i uśmiechała się czule, przyczem nie przerywała pośpiesznej szydełkowej roboty kaftanika z czerwonej wełny. Uśmiechała się i nie wierzyła sama sobie, że dwoje tych dzieci, to rzeczywiście własne jej dzieci, zrodzone w jej łonie, i że tyle już lat, dziesięć lat blisko, upłynęło od dnia jej ślubu. Czyż to możliwe? Czuje się jeszcze taką małą dziewczynką, a jej starszy syn ma ośm lat, ona zaś blisko trzydzieści. Trzydzieści lat! czy to możliwe? prawie stara! To dopiero! Uśmiecha się.

— Czyż to doktor? — rzecze nagle, jakby sama siebie pytając. Zdawało jej się, że rozpoznaje w przedsiönku głos lekarza domowego. Wstała z krzesła; uśmiech błąkał się jeszcze na ustach.

Ach... ten uśmiech! Jakże rychło zamarł na jej wargach, zlodowaciały pod wpływem zmieszania i zakłopotanej postawy doktora Vacalopulo, który ciężko dyszał, powieki drgały mu nerwowo, poza

wielkimi szklami okularów krótkowidza, które pomniejszały jego oczy.

— Doktor... Mój Boże...

— To nic... Niech pani będzie spokojna...

— Mama?

— Nie, nie! — wymówił głosem silnym doktor.

— Nie matka pani!

— Więc Tomasz? — krzyknęła Adrijanna. Milczenie doktora pozwalało domyślać się, że chodziło istotnie o jej męża.

— Co mu się stało? Niech pan mi powie prawdę... Mój Boże! gdzie on jest? gdzie on jest?

Doktor Vacalopulo wyciągnął ręce przed siebie, jakby chcąc zatamować wylew pytań.

— To rzecz błaha. — Zobaczy pani... Mała rana...

— Ranny? Zabili mi go?

Adrijanna schwyciła ramię doktora, jakby szalona. Oczy patrzyły błędnie.

— Ależ nie, pani, ależ nie... Niech pani się uspokoi... Zwykła rana... lekka, miejmy nadzieję...

— Pojedynek?

— Tak! — odrzekł z wysiłkiem, po pewnym wahanii, doktor, coraz więcej zmieszany.

— O, mój Boże! niech pan mi powie prawdę! — błagała Adrijanna. — Pojedynek? Z kim? I nic mi nie powiedział?

— Dowie się pani o wszystkim. Ale spokoju, spokoju: myślmy o nim... Gdzie jest jego pokój?

— Tutaj! — odrzekła, zdrętwiała, nie rozumiejąc z początku nic. Poczem podjęła z trwożą.

— Gdzie otrzymał ranę? Pan mnie przeraża.

Czyż Tomasz nie był z panem? Gdzież on był? Dlaczego się strzelał? Z kim? Kiedy?... Ale, niechże pan mówi...

— Powoli, powoli... — przerwał doktor Vacalopulo ostatkiem sił. — Wszystkiego się pani dowie... Na razie, czy służąca jest w domu? Może zechce ją pani zawołać? Trochę spokoju i ładu, proszę mnie tylko słuchać.

I, gdy wychodziła, jak senna, by zawołać służącą, doktor zdjął kapelusz i przesunął drżącą ręką po czole, jakby usilnie starał się coś sobie przypomnieć, poczem, opamiętawszy się nagle, odpiął marynarkę, wyjął notes z kieszeni, potrząsnął kilka razy swem wiecznym piórem, wreszcie napisał receptę.

Adrianna wróciła ze służącą.

— Zaraz! — rzekł Vacalopulo, nie przerywając pisania. A skończywszy, rzekł:

— Natychmiast do najbliższej apteki. Proszę wziąć flaszeczkę... Nie, niema potrzeby, aptekarz dał i proszę się nie guzdrać.

— To jakaś poważna sprawa, panie doktorze? — spytała Adrianna gwałtownie i z miną zaleknioną zarazem, jakgdyby chciała prosić o przebaczenie za swą natarczywość.

— Nie! Powtarzam pani. Bądźmy dobrej myśli — odpowiedział Vacalopulo i, aby zapobiec dalszym pytaniom, dodał:

— Może mi pani wskaże pokój...

— Proszę za mną, tędy...

Lecz, znalazłszy się w pokoju, spytała znów, cała drżąca:

— Ale, panie doktorze, czyż pan nie był z Tomaszem? Zawsze przy pojedynkach jest dwóch lekarzy?...

— Trzebaby przesunąć łóżko trochę więcej w tamtą stronę... — powiedział doktor, niby nie słysząc.

W tej chwili ładne dziecko, o śmiałym wejrzeniu, z czarnym, kędzierzawym włosiem, wpadło w podskokach do pokoju.

— Mamo, nosze! Tylu ludzi...

Dziecko spostrzegło doktora i zatrzymało się naraz zmieszane, zawstydzone na środku pokoju.

Matka krzyknęła i odsunęła nabok dziecko, aby towarzyszyć doktorowi. Ten jednak na progu odwrócił się i zatrzymał Adrjanę.

— Niech pani tu pozostanie, błagam panią... Pani łyzy mogą mu zaszkodzić...

Wówczas Adrjanna pochyliła się ku małemu, który uczeplił się jej sukni, i przycisnęła go do piersi, wybuchając łkaniem.

— Dlaczego, mamusiu, dlaczego? — pytał przerażony dzieciak, nic nie rozumiejąc. I zaczął płakać.

II

Nadole doktor spotkał nosze, które podtrzymywało czterech tragarzy, gdy dwaj policjanci, z pomocą stróża, wzbraniali tłumowi ciekawych dostępu do domu.

— Doktorze Vacalopulo! — krzyczał jakiś młody człowiek, zagubiony w tłumie.

Doktór odwrócił się i rzekł do policjantów:

— Proszę mu pozwolić wejść, to mój asystent! Niech pan wejdzie, doktorze Sia.

Czterej tragarze szeptali coś, przygotowując pasy do wniesienia noszy na górę.

Brama zamknęła się znowu. Tłum nazewnątrz uderzał w drzwi pięściami, nogami, gwizdał, wył.

— A więc? — zapytał doktór Vacalopulo doktora Sia, prawie bez tchu, z twarzą, okrytą potem.
— A kobieta?

— Co za gonitwa, drogi mistrzu! — odrzekł doktór Cosimo Sia. — Kob eta? W szpitalu... Już nie mam sił. Złamanie nogi i ramienia.

— Skrzep?

— Tak sędzę, lecz nie wiem. Przybiegłem potrójnym galopem. Co za upał, per Bacco! Chętnie wypiłbym szklankę wody...

Doktór Vacalopulo odsunął nieco gumowe płótno, zakrywające nosze, aby zbadać ранego; opuścił je natychmiast i, zwracając się do tragarzy, powiedział:

— Prędszej naprzód! Powoli, uważnie — proszę was, bo dzieci...

Gdy orszak mozolnie, z wszelkim rodzajem ostrożności, szedł ku górze, przy każdym zakręcie schodów otwierały się drzwi mieszkańców na hałas kroków, na zgiełk słów krótkich i urywanych.

— Powoli, powoli! — powtarzał prawie za każdym krokiem doktór Vacalopulo.

Sia szedł z tyłu, ocierając sobie w dalszym ciągu kark i czoło, i pytał lokatorów:

— Panie... czy to już? Corsi... Czwarte piętro, nieprawdaż?

Jakaś pani z młodą dziewczyną, widocznie matka i córka, wbiegły pośpiesznie na schody, a w tej samej chwili dały się słyszeć rozpaczliwe krzyki Adrijanny.

Vacalopulo, niezadowolony, kręcił głową i, zwracając się do Sia, rzekł:

— Proszę w dalszym ciągu uważać na tragarzy! Przeleciał, skacząc po cztery schody, dwa piętra, które go dzieliły od mieszkania Corsich.

— Droga pani, proszę odwagi! Niech pani tak nie krzyczy! Proszę zrozumieć, że mu pani tem zaszkodzi. Proszę was, dobre panie, zabierzcie ją i wyprowadźcie stąd...

— Chcę go zobaczyć! Puśćcie mnie! Chcę go zobaczyć! — krzyczała Adrijanna, cała we łzach.

Na co doktor zapewniał ją:

— Zobaczy go pani, obiecuję, ale nie w tej chwili... Wyprowadźcie ją!

Przyniesiono nosze.

— Drzwi! — zawołał jeden z tragarzy resztką głosu.

Doktor Vacalopulo przybiegł, by otworzyć drugą połowę drzwi, Adrijanna zaś, szamocząc się, ciągnęła dwie, uczeplone koło niej, sąsiadki ku noszom.

— W którym pokoju? Gdzie jest łóżko? — pytał doktor Sia.

— Tam, tam! — odpowiedział Vacalopulo i, zwracając się do dwóch kobiet, krzyknął:

— Ależ przytrzymajcie ją, sapristil! Nie potraficie nawet jej przytrzymać?

— O, Panie Jezul — wykrzyknęła dama z drugiego piętra, mała i krępa, z olbrzymim biustem, stając przed Adrijanną, która straciła głowę z rozpaczy.

Dwóch policjantów szło za noszami; zatrzymali się u drzwi wejściowych. Nagle, na schodach dał się słyszeć wielki zgielk, któremu towarzyszyły przyspieszone kroki wielu nóg.

Stróż zapewne otworzył bramę i tłum ciekawych opanował schody.

Obydwaj policjanci wyciągnęli głowy ku tym, którzy wtargnęli.

— Pozwólcie mi przejść — krzyczała w ciżbie, na ostatnich schodach, aż przebiła się łokciami, wysoka, koścista, czarno ubrana dama, o bladym, chudym obliczu, o włosach zeschniętych, czarnych jeszcze, mimo wieku i cierpień widocznych, jakie musiała przeżyć. Zwracała się w tę i ową stronę, jak niewidomy; spojrzenie jej było w istocie napół-przygasłe, wśród powiek nabrzmiałych, półprzymkniętych. Gdy doszła do szczytu schodów, aż do drzwi przy pomocy młodego, dobrze ułożonego człowieka, który jej towarzyszył, zatrzymali ją na progu policjanci:

— Nie można wejść!

— Jestem matką! — odrzekła porywczo i z gestem nie dopuszczającym oporu, usunęła policję



i wcisnęła się do mieszkania. Młody, dobrze ułożony człowiek wkradł się za nią, jakgdyby również należał do rodziny.

Nowoprzybyła skierowała się do pokoju prawie ciemnego, z jednym małym oknem w suficie, opatrzonym kratą. Nie widząc nic, zawołała:

— Adrjanno!

Adrjanna, siedząca między dwiema sąsiadkami, które ją niezręcznie pocieszały, zerwała się z okrzykiem:

— Mamo!

— Pójdź, pójdź, moja córko, moja biedna córko! Chodźmy stąd natychmiast!

Głos starej damy drżał boleścią i oburzeniem.

— Nie całuj mnie! Nie powinnaś mieszkać tutaj ani minuty dłużej...

— O, mamo, mamo! — łkała Adrjanna, zarzucając rękę na szyję matki.

Ta jednakże uwolniła się i użalała nad nią:

— Moja córko, jesteś jeszcze nieszczęśliwszą, niż twa matka!

Później, opanowawszy wzruszenie, podjęła z gniewem:

— Kapelusz, natychmiast, szal! Weź mój... I chodźmy stąd zaraz, z dziećmi... Gdzie dzieci?... Ziemia mnie tu parzy pod stopami... Przeklnij ten dom, jak ja go przeklinam!...

— Mamo, co ty mówisz, mamo? — pytała Adrjanna, uginając się pod cierpieniem.

— A! ty nic nie wiesz? To ty nic jeszcze nie

wiesz? Nic ci nie powiedziano? Niczego nie podej-
rzywałaś? Twój mąż jest zbrodniarzem!

— Ależ on jest ranny, mamol!

— Sam się zranił, własnymi rękami! Zabił
Noriego, rozumiesz? Zdradzał cię z żoną Noriego...
A ona, ona wyskoczyła oknem...

Adrijanna zawyła i padła w ramiona matki zem-
dłona. Ale matka nie zwracała na to uwagi i, pod-
trzymując córkę, ciągnęła dalej głosem, drżącym
z wściekłości:

— Dla tej... dla tej... ciebie, moją córkę, takiego
aniola, na którego nie był godzien nawet patrzeć!
Zbrodniarz! Dla tej... rozumiesz to, rozumiesz?

I uderzyła ją delikatnie dłonią po ramieniu,
pieściła ją, prawie kołysała.

— Co za nieszczęście! Co za dramat! Ale co
się stało? — pytała półgłosem gruba pani z dru-
giego piętra młodego, dobrze ułożonego człowieka,
który stał w kącie z notesikiem w ręce.

— To jego żona? — zapytał z kolei młody
człowiek, zamiast odpowiedzi. — Czy mogłaby mi
pani powiedzieć jej nazwisko panięńskie?

— Jej nazwisko? — Montesani!

— A imię?

— Adrijanna! Pan jest dziennikarzem?

— Cyt, proszę pan! Do usług. A proszę mi
powiedzieć, to matka, nieprawdaż?

— Jej matka. Pani Amelja Montesani, tak, panie.

— Amelja, dziękuję, dziękuję... A tak, dramat,
tak, pani, prawdziwy dramat...

— Czy pani Nori umarła?

— Bynajmniej. Złe zielsko... mówi przysłowie, pani wie o tem lepiej ode mnie... To mąż umarł.

— Sędzia?

— On nie był sędzią. Był zastępcą prokuratora.

— Tak, to ten młody człowiek, taki brzydki... chuderlawy, Kalabryczyk, który przybył niedawno... Byli w wielkiej przyjaźni z Corsim!

— Naturalnie — zaśmiał się szyderczo młody człowiek. — Tak to zawsze bywa, pani wie o tem lepiej ode mnie... Ale, przepraszam, gdzie jest pan Corsi? Chciałbym go zobaczyć. Gdyby pani była łaskawa mi wskazać...

— Tam... przejdzie pan przez pokój i drzwi na prawo.

— Dziękuję pani stokrotnie. A, jeszcze jedno pytanie: ile jest dzieci?

— Dwoje! Dwoje aniołków! Mały chłopczyk ośmioletni i dziewczynka pięcioletnia.

— Jeszcze raz dziękuję i przepraszam...

Młody człowiek skierował się do pokoju chorego. Przechodząc przez przedpokój, zobaczył niespodzianie małego, ładnego chłopca, z błyszczącymi oczami, nerwowym uśmiechem na wargach, z rękami, założonemi w tył. Chłopiec zapytał policjanta:

— Powiedz mi, z czego on strzelił do niego? Z fuzji?

III

Tomasso Corsi, z odkrytym torsem, rosły, oparty na poduszkach, wpatrywał się dużemi, czarnemi,

błyszczącymi oczami w doktora Vacalopulo, który zdjął marynarkę i, zwinawszy rękawy na chudych i włochatych rękach, dotykał rany i badał ją uważnie. Od czasu do czasu oczy Corsiego kierowały się ku drugiemu lekarzowi, jakby oczekiwał czegoś, co miało się w nim załamać i pragnął wyczytać znak i chwilę tego załamania w spojrzeniu obu ludzi. Nadzwyczajna bladość upiększała jego męską twarz, która zwykle była raczej czerwona. Utkwił dumny wzrok w dziennikarzu, który wszedł oniesmielony i niezdecydowany.

Młodzieniec, zbliżywszy się do łóżka, zbladł, ale nie odwracał oczu od oczu rannego, które przyciągały go jakby siłą magnetyczną.

— O, Vivoli! — rzekł doktor Vacalopulo, zaledwie spojrzawszy w jego stronę.

Corsi zamknął oczy i westchnął głęboko.

Lello Vivoli czekał, by Vacalopulo znów się ku niemu zwrócił, ale wkońcu stracił cierpliwość.

— Pst! — zawołał pocichu i, wskazując rannego, zapytał ruchem ręki, jak się czuje.

Doktor wzruszył ramionami i zamknął oczy. Potem wskazał palcem ranę na wysokości sutki z lewej strony piersi.

— A zatem, dowidzenia!... — rzekł Vivoli, wznosząc rękę z gestem błogosławiącym.

Kropla krwi perliła się na brzegu rany, znacząc ślad wzdłuż piersi. Doktor wysuszył ją wata, mómniąc sam do siebie:

— Gdzie, do licha, ukryła się kula?

— Niewiadomo? — zapytał bojaźliwie Vivoli

i, pomimo odrazy, nie spuszczał rany z oczu. — Powiedz mi, czy wiesz jakiego kalibru?

Doktór Sia zabrał głos z widocznym zadowoleniem:

— Dziewiątka... kaliber dziewiąty... to można wywnioskować z rany.

— Przypuszczam — oświadczył Vacalopulo, zmarszczywszy brwi, pochłonięty myślą — że kula powinna być pod obojczykiem...

— O tak, na nieszczęście, pluco...

I wykrzywił usta.

Odgadnąć, określić kapryśną linię, jaką przebiegła kula, było dla niego w tej chwili jedynie godną uwagi sprawą. Miał przed sobą tylko jakiegoś pacjenta, na którym winien okazać swój talent, posługując się wszystkimi środkami, jakie mu dawała jego wiedza; po za tym obowiązkiem, materialnym i ściśle określonym, nie widział niczego i nie myślał o niczem. Obecność Vivoliego kazała mu tylko pomyśleć nad tem, że, ponieważ Corsi jest bardzo znany w mieście, cały dramat przybierze znacznego rozgłosu, i będzie dobrze, jeżeli się rozpowszechni, że on był tym doktorem, który leczył ранego.

— Vivoli, napiszesz, że to ja go lecę.

Doktór Sia, z drugiej strony łóżka, lekko zakaszłał.

— I możesz dodać — podjął Vacalopulo, że asystentem moim jest doktór Cosimo Sia. Oto ci go przedstawiam.

Vivoli zaledwie skinał głową i lekko się uśmiech-

nał, gdy Sia poskoczył z wyciągniętą ręką, by uścisnąć dłoń Vivoliego. Wobec tego ceremonialnego ukłonu stracił głowę, zaczerwienił się, zrobił gest pożegnania ręką już wyciągniętą, jakby chciał powiedzieć: „To wszystko jedno. Witam się w ten sposób”.

Umierający napół otworzył oczy i zmarszczył brwi. Obaj doktorzy i Vivoli spoglądali na niego z przestraczem.

— Zrobimy opatrunek! — rzekł Vacalopulo z pośpiechem, nachylając się ku niemu.

Tomasz Corsi potrząsnął głową, wspartą na poduszkach, później opuścił wolno powieki na smutne oczy, jakby nic nie rozumiejąc. Przynajmniej takie było wrażenie doktora Vacalopulo, który, wykrzywiając usta, szepnął:

— Gorączka...

— Uciekam — rzekł cicho Vivoli, ściskając dłoń Vacalopulo i kiwnąwszy jedynie głową doktorowi Sia, który tym razem odpowiedział mu lekkim ruchem głowy.

— Sia, niech pan tu przyjdzie. Musimy go podnieść. Potrzebamy dwóch naszych sanitariuszy. Zresztą spróbujemy. Mam zamiar zrobić opatrunek, któryby dobrze trzymał.

— Trzeba go obmyć? — zapytał Sia.

— Tak! Gdzie spirytus? Proszę także o miednicę. Dobrze, niech pan poczeka. Proszę przygotować bandaż. Czy już gotowe? W takim razie — lód.

Tomasz Corsi otworzył oczy, gdy doktor Va-

calopulo rozpoczął go bandażować. Twarz mu pociemniała, próbował ręką odsunąć z piersi rękę doktora i rzekł głosem zduszonym:

— Nie, nie!

— Jakto, nie? — zapytał zaskoczony doktor Vacalopulo. Ale strumień krwi przeszkodził Corsiemu w odpowiedzi i słowa utknęły mu w gardle wśród ataku kaszlu. Opadł zemdłony.

Wtedy obaj, pielęgnujący go lekarze, obmyli go i obandażowali według wszelkich prawideł medycyny.

IV

— Nie, mamó, nie... nie mogę...

Adrianna wróciła do przytomności i odmawiała posłuszeństwa rozkazom matki. Nie mogła, wraz z dziećmi, opuścić domu męża.

Czuła się, jak przygwożdżona do krzesła, oszołomiona i drżąca, jakgdyby piorun uderzył u jej stóp. Matka krążyła koło niej i przynaglała ją na próżno:

— Chodźmy, Adrianno, chodźmy! Czy mnie słyszysz?

Pozwoliła sobie włożyć szal na ramiona, kapelusz na głowę; patrzyła prosto przed siebie, jakby o coś prosiła. Nie mogła jeszcze zdać sobie sprawy z tego, co ją spotkało. Co mówiła matka? Opuścić dom? Jakże mogłaby to uczynić w podobnym momencie? Że trzeba jej będzie, wcześniej czy później, go opuścić? Ale dlaczego? Że jej mąż już do niej nie należał? Chęć ujrzenia go zniknęła. Ale

co robili w przedpokoju ci dwaj policjanci, na których matka wskazywała.

— Lepiej byłoby, gdyby umarł! Jeśli będzie żył— pójdzie do więzienia.

— Mamol— błagała matkę, utkwivszy w niej oczy.

Ale spuściła wzrok natychmiast, by powstrzymać łzy.

Na obliczu matki wyczytała potępienie męża: — „Zabił Noriego”. Starła się w dalszym ciągu nie wie¹zieć o tem, nie mogła jeszcze ani myśleć, ani pojąć podobnej rzeczy; zachowała wizję tych noszy i nie mogła wyobrazić sobie nic, prócz swego Tomasza rannego, być może umierającego, leżącego bezwładnie... Tomasz zabił więc Noriego? Miał romans z Angelicą Nori i mąż schwytał oboje? Przypominała sobie, że Tomasz zawsze nosił przy sobie rewolwer. Czy przeciw Noriemu? Nie! nosił go zawsze, a państwo Nori mieszkali w mieście dopiero od roku.

W bezładzie świadomości budził się w niej chaotyczny nawał obrazów: jeden obraz wywoływał drugi; układały się w wyraźne sceny przelotne, jak mgnienie błyskawicy, znikwały natychmiast, aby z zawrotną szybkością utworzyć nowe obrazy. Państwo Nori przybyli z jakiegoś miasta w Kalabrii, z listem polecającym do Tomasza, który przyjął ich z nadmierną uprzejmością jego zawsze miłego charakteru, jakby starych znajomych, miał dla nich jasny uśmiech na męskiej twarzy, na której lśniły jego oczy, pełne życia i czynnej, niestrudzonej energii, dzięki czemu był powszechnie lubiany.

Ta natura, tak bujna, tak rozlewna, czująca cią-
głą, niemal gwałtowną potrzebę zwierzeń, ujarzmiła
ją, pochłonęła od pierwszych dni ślubu; czuła, że
ją porywa pośpiech, z jakim żył Corsi: wprost szła
życia. Życ bez odpoczynku, nie zastanawiać się nad
drobiazgami, nie tracić czasu na rozważania. Życ
bez odpoczynku, nie zastanawiać się nad drobiaz-
gami, nie tracić czasu na rozważania. Życ i pozwo-
lić żyć, przechodząc ponad trudnościami, przeska-
kując zapory. Kilkakrotnie coś ją w tym wyścigu
zatrzymało, oceniała ten lub ów czyn, spełniony
przez męża, którego nie mogła uznać za słuszny.
Ale nie zostawiał jej czasu do oceny, jak również
nie przykładał wagi do swych czynów. Wiedziała,
że napróżno było go prosić, by zawrócił z obranej
drogi, wrzusał ramionami, uśmiechał się i... szedł
naprzód! Czuł potrzebę posuwania się naprzód za
każdą cenę, jakąkolwiek drogą, by nie pozostać
wtyle, nie bacząc na dobro czy zło; był zawsze
wesoly i porządny, oczyszczony — możnaby powie-
dzieć — przez tę ruchliwość bez odpoczynku, zawsze
radosny, wspaniałomyślny wobec wszystkich, prosty
i przyjacielski. W trzydziestym ósmym roku życia
było to duże dziecko, zdolne przejąć się najpoważniej
w świecie jakąkolwiek zabawą z dwojgiem swych
dzieci, i po dziesięciu latach małżeństwa, był tak
zakochany w swej żonie, że całkiem niedawno
jeszcze musiała się rumienić z powodu zbyt po-
ufałych jego ruchów wobec dzieci lub służącej.

A dzisiaj — ten cios!...

Jakże on mógł? Okrucieństwo faktów nie zdo-

łało jeszcze rozproszyć uczuć, jakie miała dla męża, uczuć, które nie były tylko prostym a mocnym afektem, lecz miłością najsilniejszą i, jak jej mówiło serce, wzajemnie podzielaną.

Może kilka płochych balamuctw, ukrytych pod tą hałaśliwą wybujałością, ale kłamstwo, nie kłamstwo nie mogło mieć miejsca w jego stałej wesołości. Że miał stosunek z Angelicą Nori, to jeszcze nie znaczyło, by zdradził ją, swoją żonę... Ale tego matka nie mogła zrozumieć, nie wiedziała o tylu rzeczach... Nie, nie mógł kłamać temi ustami, temi oczyma, tym śmiechem, który dzień w dzień dom rozweselał. Angelica Nori? Wiedziała dobrze, czem była ona dla męża: nawet nie kaprysem, niczem! niczem! Zwyczajnie, dowodem jednej z tych słabości, których mężczyźni nie umieją lub nie mogą uniknąć... Ale w jaką otchłań się pogrążył, pociągając, wraz z sobą, w upadek swe ognisko domowe, żonę i dzieci!

— Moje dzieci, moje dzieci! — wykrzyknęła wkońcu.

Łkała, ukrywszy twarz w dłonie, jakby nie chcąc spoglądać w przepaść, która otwierała się przed nią.

— Zabierz je z sobą! — rzekła, zwracając się do matki. — Niech idą stąd, niech nie widzą... Ale ja, nie, mamol! Ja zostanę. Proszę cię...

Podniosła się i, usiłując łązy powstrzymać, wraz z matką, poszła po dzieci, które bawiły się w małym gabinecie, gdzie je zamknęła służąca. Zaczęła je ubierać, tłumiąc łkania, które nią wstrząsały na każde z radosnych dziecinnych zapytań.

— Z babcią, tak!... Na przechadzkę z babcią!... Małego konika, dobrze!... Szablę też!... Babcia ci kupi, kupi...

Matka patrzyła z uwagą, 'z rozdartem sercem, na ukochaną swą córkę, swe umiłowane dziecię, tak dobre, tak piękne, dla którego odtąd wszystko się skończyło, i w swej dzikiej nienawiści przeciwko temu, który był powodem takiego cierpienia jej córki, chciałaby jej wyrzeć z rąk małego chłopczyka — zupełny portret ojca, nawet głos, nawet ruchy!

— Dobrześ się namysliła nad tem, żeby nie pójść ze mną? — spytała córki, gdy dzieci były gotowe. Moja noga tu więcej nie postanie, będziesz sama. Dom matki jest dla ciebie zawsze otwarty. Przyjdiesz tam jutro, jeśli już nie dzisiaj. Nawet gdyby nie umarł...

— Mamol! — błagała Adrijanna, wskazując na dzieci.

Starsza pani umilkła i odeszła z dwojgiem wnuków, gdy z pokoju ranionego wychodził doktor Vacalopulo.

— Wzruszenie, nawet lekkie, mogłoby być zabójcze dla niego. Proszę nie czynić nic, co mogłoby go wzruszyć. Tej nocy będzie czuwał przy nim mój kolega. Gdybym był potrzebny...

Nie dokończył, gdyż spostrzegł, że go nie słuchała i że nie pytała go o szczegóły, przy jakich otrzymał ranę. Miała kapelusz na głowie, jakby zamierzała dom opuścić. Doktor napół przymknął oczy, pokiwał głową z westchnieniem i odszedł.

W nocy, Tomasz Corsi odzyskał świadomość. Jeszcze n półnieprzytomny, opanowany przez gorączkę, szeroko otwierał oczy na półmrok pokoju. Lampa świeciła na komodzie, lustro o trzech skrzydłach zasłaniało łóżko od światła, które padało jasno na ścianę, uwydatniając rysunki i kolor obicia. Tomasz Corsi miał tylko takie wrażenie: łóżko wydawało mu się wyższe i mógł po raz pierwszy w pokoju zauważyć rzeczy, które dotychczas uchodziły jego uwagi. Lepiej widział całość umeblowania, a w głębokiej ciszy nocy wydzielalo się coś, w rodzaju atmosfery rodzinnej; bogate makaty, spuszczone od sufitu do dywanów, nadawały pokoiowi wygląd nadzwyczaj uroczysty. Wszystkie meble, wszystkie przedmioty, które go otaczały, zdawały się mówić, w miarę, jak Corsi odzyskiwał świadomość: „Jesteśmy tutaj tak, jak nas chciałeś mieć dla swej wygody i przyjemności — jesteśmy twym domem, wszystko jest tak, jak przedtem”.

Nagle zamknął oczy, gwałtownie oslepiiony w półcieniu falą ostrego światła; światło to zabłysło w drugim pokoju, gdy ta kobieta z krzykiem otworzyła okno, skąd wyskoczyła.

Odzyskał nagle całą pamięć; widział znów wszystko od początku.

Krępowala go instynktowna wstydlivość i nie mógł się zdecydować, by wyjść z łóżka rozebrany. Wtedy Nori wystrzelił do niego po raz pierwszy; kula strzaskała szkło obrazu świętego, zawieszono-

go nad łóżkiem. Wyciągnął rękę po swój rewolwer, leżący na stoliku nocnym, gdy wtem druga kula musnęła go po twarzy... Ale nie przypomina sobie, by strzelał do Noriego. Dopiero wówczas, gdy Nori runął głową naprzód i gdy już leżał na podłodze, własna jego ręka ukazała mu się uzbrojona w ciepły i jeszcze dymiący rewolwer. Wyskoczył wtedy z łóżka i w jednej sekundzie powstała w nim straszna walka całej energii życiowej przeciwko myśli o własnej śmierci. Przedewszystkiem obawa śmierci, wreszcie uczucie twarde, mroczne, które się narzuciło, jako władcze nad całym wstrętem, nad wszelkiem innym uczuciem. Wpatrywał się w trupa, w okno, przez które ta kobieta wyskoczyła; usłyszał hałas na ulicy; przepaść się w nim otworzyła i wtedy, zupełnie świadomie, narzuciła mu się krwawa decyzja, jakgdyby to była rzecz, o której długo myślał i przedyskutował. Tak właśnie w ten sposób odbyło się to wszystko.

— Nie!—powtarzał sobie w chwilę potem, otworzywszy oczy, błyszczące od gorączki. — Nie, bo przecież jestem u siebie, przecież jestem we własnym łóżku...

Zdawało mu się, że słyszy w sąsiednim pokoju wesole głosy. Kazał zrobić nowe obicia i pozawieszać w mieszkaniu dywany na chrzest swego najmłodszego syna, który umarł, mając dwadzieścia dni. Tak jest, to było to: goście wracali z kościoła, Angelica Nori, której podał ramię, nieznacznie oparła na niem rękę. Odwrócił się, by spojrzeć na nią, zdziwiony, a ona przyjęła to spojrzenie z uśmie-

chem bezwstydnym, trochę obłudnym, opuściła omdlewająco powieki swych dużych, czarnych, wypukłych oczu w obecności wszystkich.

— To dziecko umarło — myślał — dlatego, że on trzymał je do chrztu. Rzucił na nie urok.

Obrazy, jakich nie widział, dziwne i niejasne wizje, nagle fantasmagorie, myśli przejrzyste i dokładne snuły mu się w duszy kolejno podczas góraczki przerywanej:

— Tak, on go zabił. Ale po dwakroć ten szaleniec pierwszy próbował go zamordować, Corsi zaś, odwróciwszy się, by ująć rewolwer ze stolika, krzyczał do niego z uśmiechem: — „Co ty tam robisz?” Tak wydawało mu się rzeczą niemożliwą, by ten człowiek, zanim go zmusił do groźby i czynu, nie zrozumiał, że to hańba, szaleństwo, chce go zabić w ten sposób, w podobnej chwili, zamordować go dlatego, że znalazł się tam przypadkiem, kiedy całe jego życie jest gdzie indziej, kiedy miał własne sprawy, wszystko to, co mu najdroższe, rodzinę i dzieci, o które musiał się troszczyć. A, nieszczęsny!

Jak, u diabła, nagle ten mały człowiek, zezowaty, brzydki i śmieszny, ta dusza, apatyczna i posępna, który włókł się przez całe swe życie bez najmniejszego pragnienia, bez najmniejszego afektu, który wiedział już od wielu, wielu lat, że go żona zdradza bezwstydnie i nie dbał o to; ten człowiek, którego nadzwyczajnie utrudzało otworzenie oczu i wydobyć z gardła rozlazłego i miauczącego głosu, jak, u diabła, nagle ten człowiek poczuł, że krew mu się burzy i właśnie przeciwko niemu — Corsiemu?

Czy nie wiedział, jaką jest jego żona? Czy nie rozumiał, że bronić nagle swego honoru, z rewolwerem w ręku, dla kobiety, która tyle lat nim pomiatała, tak, że on niby tego nie widział, było rzeczą śmieszną rzeczą szaloną i haniebną zarazem.

Ileż razy ten człowiek był obecny, gdy Angelica, w jego oczach, w oczach Adrijanny, starała się zwabić go swą kokieterją małą, melancholijnej małpeczką! Adrijanna dobrze to widziała, a mążby tego nie zauważył? O, jakże oni się z tego śmieli razem z Adrijanną!

Wywołać dramat na serjo o taką kobietę? Skandal? — więcej: śmierć obojga? O, nieszczęsny! Zabijając go, może jej piękny dar ofiarował! Ale czyż on, Corsi, miał umierać dla tak błahej rzeczy? W owej chwili, z trupem, u jego nóg leżącym, oszalały od wrzawy na ulicy, myślał, że nie może nie umrzeć! Dlaczego wszystko się nie skończyło? Żył w swoim cichym pokoju, leżał na łóżku, jak-gdyby nic się nie stało. A, gdyby to był tylko straszny sen! Nie, ten ból dolegliwy w piersiach, który mu przeszkadza oddychać... No, i łóżko...

Wyciągnął pomału rękę w stronę sąsiedniego miejsca na łóżku; puste... Więc Adrijanna?... poczuł znów otwierającą się w nim przepaść. Gdzieby ona mogła być? A dzieci? Czy go opuścili? Sam w domu? Czy to możliwe?

Otworzył oczy: czy był istotnie w swej sypialni? Tak, nic się nie zmieniło. Wtedy gryźć go zaczęło okrutnie zwątpienie, kolejno tam i zpowrotem gorączka przelewała się w jasnowidzenie: nie zgady-

wał już, otwierając oczy, czy w halucynacji widział pokój, pełen zwykłego spokoju, czy też śnił wówczas, gdy zamykał oczy, i oglądał straszną tragedję tego poranku tak wyraziście, że wizja stawała się rzeczywistością. Jęknął i niezwłocznie ujrzał nieznaną twarz; poczuł jakąś rękę, dotykającą jego czoła. Ten dotyk pokrzepił chorego. Corsi zamknął oczy i westchnął z rezygnacją, nie chcąc nic rozumieć i nic wiedzieć o tem, co się stało w istocie. Może być, że twarz ta we śnie tylko przewinęła mu się przed oczyma i że czuł tę rękę na czole również we śnie... I popadł znów w stan zupełnej nieświadomości.

Doktór Sia zbliżył się na końcach palców do najciemniejszego kąta pokoju, gdzie czuwała Adrijanna, tak, by jej nie można było zobaczyć.

— Może lepiejby było — rzekł cichym głosem — posłać po doktora Vacalopulo. Gorączka wzmagą się, a stan ogólny mnie nie...

Przerwał, poczem spytał:

— Chce go pani zobaczyć?

Adrijanna, ze ściśniętem sercem, zrobiła głową znak, że nie. Poczem, nie czując już sił, by powstrzymać strumienie łez, które się do oczu cisnęły, wstała jednym skokiem i uciekła z pokoju. Doktór Sia zamknął starannie drzwi, aby łkania żony nie doszły do uszu umierającego, poczem wziął pęcherz, leżący mu na piersiach, wylał z niego wodę, napenił na nowo lodem, położył go na bandażu rany.

— Zrobiłem, co trzeba.

Wpatrywał się jeszcze długo w twarz ranionego, wsłuchiwał się w jego utrudniony oddech; nie miał już nic innego do roboty i dość mu było poczucia, że dał nowy łód i poczynił obserwacje, poczem wrócił na miejsce w fotelu, z drugiej strony łóżka.

Tam, z zamkniętymi oczyma, oddał się rozkoszy zasypiania, gasząc stopniowo wolę oporu przeciw uśpieniu, aż do chwili, gdy w końcu jego głowa opadała nagle; uchylał wówczas powieki i na nowo oddawał się tej zakazanej rozkoszy, co go słodko upajała.

VI

Nieszczęściem, chory nie uniknął komplikacji, których obawiał się doktor Vacalopulo; pierwsza i najpoważniejsza ze wszystkich było zapalenie płuc, z gorączką, dochodzącą do czterdziestu stopni. Nie mając żadnej ubocznej myśli, prócz interesu nauki, która go całkowicie pochłaniała, doktor Vacalopulo zdwoił zapał. Nic innego zdawało się go nie obchodzić, jak tylko ocalić umierającego za wszelką cenę.

Widział w chorych, powierzonych swej pieczy, nie ludzi, ale okazy do studjum; piękny okaz, okaz wyjątkowy, okaz przeciętny lub banalny; zupełnie tak, jakby choroby ludzkie były na usługi nauki, nie zaś nauka na usługi chorych. Wypadek poważny i skomplikowany interesował go zawsze do granic ostatecznych; nie mógł oderwać myśli od chorego, stosował najnowsze sposoby pierwszorzędných klinik światowych, badał skrupulatnie biule-

tyny, przeglądy, szczegółowe sprawozdania prób, metod największych luminarzy wiedzy medycznej i często stosował najbardziej ryzykowne sposoby leczenia z nieposkromioną odwagą, z niewzruszonym zaufaniem. W ten sposób zdobył sobie znakomite wzięcie. Co roku odbywał wielkie podróże i powracał rozentuzjasmowany doświadczeniami, przy których był obecny, zachwycony wiadomościami, jakimi powiększył swój bagaż, zaopatrzone w najnowsze i najbardziej udoskonalone narzędzia chirurgiczne, które, po bardzo szczegółowem wystudjowaniu mechanizmu i starannem oczyszczeniu, układał w wielkiej szklanej szafie, w kształcie urny, pośrodku obszernego gabinetu i, złożywszy je tam, wpatrywał się w nie, już to zacierając ręce, ręce silne, zawsze zimne, już to pociągając dwoma palcami koniec swego nosa, uzbrojonego w duże okulary, które uwydatniały surową sztywność jego bladej, długiej, końskiej twarzy.

Przyprowadził kilku kolegów do wezgłowia Coriego, aby studjować ten wypadek i dyskutować o nim, objaśniał wszystkie próby, z których jedna była od drugiej nowsza i bardziej skomplikowana, ale które jeszcze nie dawały rezultatu. Ranny, pod wpływem gorączki, leżał w stanie, bliskim nieświadomości, przerywanym jednakże atakami maligny, podczas których kilkakrotnie, -zmyliwszy wszelką czujność, omal nie zerwał opatrunku.

Vacalopulo nie raczył zwrócić wielkiej uwagi na ten „fenomen“; polecił tylko doktorowi Sia, by zdwoił czujność. Dzięki fotografii zapomocą pre-

mieni Roentgena, lekarz mógł wydobyć kulę, która utkwiała pod pachą; ryzykując życie chorego, zastosował mokre okłady, aby obniżyć temperaturę. Nareszcie udało mu się! Gorączka spadła, zapalenie płuc zostało zwyciężone, wszelkie niebezpieczeństwo prawie, że usunięte. Żadne wynagrodzenie materialne nie mogłoby się równać satysfakcji moralnej doktora Vacalopulo. Promieniał, a i doktor Sia również, wraz z mistrzem.

— Drogi kolego, uściśnij mi rękę! To się nazywa zwycięstwem!

Sia odpowiedział mu jednym słowem:

— Cudownie!

Bliskość wiosny przyspieszała rekonwalescencję. Już chory zaczynał wracać do siebie, wychodził ze stanu nieświadomości, w którym [tak długo był] pogrążony. Ale nie wiedział jeszcze, nie podejrzewał nawet, co się z nim stało.

Pewnego poranku bawił się w ten sposób, że wyjmował ręce z pod kołdry i podnosił, by je oglądać; uśmiechał się, widząc, jak drżały bezkrwiste palce. Czuł się, jakgdyby zawieszony w przestrzeni, ale w przestrzeni spokojnej, słodkiej, nierealnej. Tylko niektóre szczegóły pokoju ukazywały mu się tu i owdzie; malowany gzyms na suficie, zielony meszek wełnianej kołdry na łóżku, który mu przywodził na pamięć żdźbła trawy, łąk i polanek. Skupiał z błogością całą uwagę na tych, nic nie znaczących, rzeczach, następnie, zanim odczuł zmęczenie oczu, zamykał je i miłe oszoło-

mienie, któremu się poddawał, ogarniało go w pełni. Śnił, pogrążony w niewymownej rozkoszy.

Wszystko było skończone, wszystko; życie się rozpoczynało. Ale czy nie było w niem przerwy, zarówno dla niego, jak i dla innych? Nie, nie... al turkot wozu... Nazewnątrz, na ulicach, przez cały czas jego choroby, życie szło normalnym trybem... Odczuł coś w rodzaju drażniącego swędzenia; wewnętrzna myśl, która go niejasno trapiła; znów zaczął się wpatrywać w zielony meszek kołdry, który przedstawiał dla niego wieś; tam przynajmniej, z temi żdźbłami trawy, życie rzeczywiście się rozpoczyna. I w ten sposób zaczynało się też dla niego. Rozpocznie życie na nowo, całkiem na nowo... Nieco świeżego powietrza! Ach! gdyby doktor chciał otworzyć trochę okno... Zawołał: — „Doktorze!”

Jego własny głos sprawił na nim dziwne wrażenie. Ale nikt nie odpowiedział. Powiódł ckiem wokół pokoju. Niema nikogo... Jakto? Gdzie on jest? Adrjanna, Adrjanna? Opanowała go dręcząca tkliwość dla żony i zaczął płakać, jak dziecko, z szaloną żądzą zarzucenia jej rąk na szyję i przyściśnięcia do piersi... Znów zawołał wśród łez:

— Adrjanno! Adrjanno!... Doktorze!

Nikt nie odpowiadał. Przerażony, dusząc się, wyciągnął rękę do dzwonka, stojącego na nocnym stoliku, ale nagle poczuł straszne rozdarcie, które go na moment pozbawiło oddechu, wykrzywiona cierpieniem twarz pobladła mu, potem zadzwo-

nił, dzwonił z wściekłością. Doktor Sia nadbiegł z miną, jak zwykle, człowieka, spadłego z księżycy.

— Jestem, co się stało?

— Samego, samego mnie pozostawiono...

— No, dobrze, ale poco ten niepokój? Jestem przecież.

— Nie, Adrjanna! Zawołajcie mi Adrjannę!... Gdzie ona jest? Chcę ją zobaczyć...

Teraz on rozkazywał. Twarz doktora Sia wyciągnęła się. Pochylił głowę nabok.

— Nie sprowadzę żony pańskiej, jeżeli pan będzie tak rozdrażniony. Jeżeli pan się nie uspokoi...

— Chcę zobaczyć swą żonę!—powtórzył w gniewie, tonem rozkazującym.—Czy pan może mi w tem przeszkodzić?

Sia uśmiechnął się w sposób niokreślony.

— To znaczy, że... chciałbym... No, nie, niech pan zamilknie: sprowadzę ją do pana.

Nie miał potrzeby jej przywoływać. Adrjanna była za drzwiami. Osuszyła, jak mogła, łzy i przybiegła; łkając, rzuciła się w ramiona męża, jak w odmęt miłości i rozpaczy. Z początku tylko radość, że przycisnął do piersi ukochaną; upajało go ciepło jej ciała, woń jej włosów. Ach! jak ją kochał, jakże ją kochał!... Nagle usłyszał jej łkania. Usiłował podnieść obiema dłońmi tę głowę, która się tuliła do niego; nie miał dość siły i, czując zamęt w głowie, zwrócił się ku doktorowi Sia. Doktor podbiegł i skłonił Adrjannę, by się oddaliła od łóżka; podtrzymując, wyprowadził ją z pokoju, ale

gwałtowny atak łez nie uspakajał się długo. Później wrócił znów do rekonwalescenta.

— Dlaczego?—zapytał Corsi, przejęty.

Nagła myśl przebiegła mu przez mózg, jak błyskawica.

Nie słuchając odpowiedzi lekarza, Corsi przymknął oczy, dotknięty do głębi. Myślał:

— Ona mi nie przebaczył...

VII

Na wiadomość o zmianie na lepsze i widokach wyleczenia, wzmogła się czujność policji. Doktor Vacalopulo, obawiając się, że władza sądowa wyda za wcześnie nakaz aresztowania, powziął myśl, by wyszukać adwokata z pomiędzy przyjaciół swoich i Corsiego, a którego Corsi wybrałby zapewne, jako obrońcę. Prosił go więc, by ten udał się z nim do komisariatu policji, w celu zaręczenia, że chory nie będzie próbował ujść sprawiedliwości.

Camillo Cimetta, adwokat, zgodził się. Był to człowiek, liczący około lat sześćdziesięciu, szczupły, bardzo wysoki, na długich nogach. Na jego zniszczonej, żółtawej i cierpiącej twarzy, dwoje małych, czarnych oczu błyszczało z nadzwyczajną żywością, tworząc szczególny kontrast. Więcej filozof, niż prawnik, sceptyk, znudzony życiem, goryczami, jakich mu życie nie szczędziło, nie uczynił nigdy nic, by pozyskać wielkie wzięcie, jakiem się cieszył, a co dało mu bogactwa, z którymi nie

wiedział co robić. Jego żona, bardzo miłe stworzenie, ale niewrażliwe, despotyczne, które go torturowało od wielu lat, popełniła samobójstwo w ataku neurastenji; jedyna córka pozwoliła się porwać marnemu pisarzynie, który był u niego pomocnikiem, i umarła w czasie porodu, przez rok cały znosząc jak najgorsze traktowanie niegodziwego męża. Późostał sam bez celu w życiu, odrzucił wszystkie godności honorowe, jakie mu proponowano, i satysfakcje spieniężenia w wielkiem mieście darów przyrodzonych. Jego koledzy stawali w sądzie, jako obrońcy, lub wytaczali akcję cywilną i byli przygotowani na wszelkie szykany lub mieli usta, pełne słów ordynarnych; on, który nie mógł znosić togi, jaką woźny mu wkładał na plecy, podnosił się z rękami w kieszeniach i rozpoczynał przemówienie do przysięgłych, do sędziów z największą naturalnością, bez żadnego przygotowania, starając się przedstawić im, jak można najjaśniej argumenty, które robiły na nich największe wrażenie; niszczył z subtelnością, wobec której nic ostać się nie mogło, wspaniałe gmachy krasomówcze swych przeciwników i często udawało mu się obalić formalne przegrody smutnego środowiska sądowego; starał się artykuły prawa przeniknąć tchnieniem życia, bolesnem tchnieniem ludzkości, braterskiego politykowania dla człowieka, stworzonego do grzechu i cierpienia.

Otrzymawszy od komisarza obietnicę, że Corsi nie będzie uwięziony bez zezwolenia doktora, Cimetta i Vacalopulo udali się razem do Corsiego.

W przeciągu kilka dni Adrijanna tak się zmieniła, że była nie do poznania.

— Oto, proszę pani, ten kochany adwokat— rzekł Vacalopulo. — Dobrze byłoby przygotować pomału rekonwalescenta do twardej konieczności.

— Jakże to zrobić, doktorze? — zawołała Adrijanna. On, zdaje się, nie powziął jeszcze najmniejszego podejrzenia. Jest, jak dziecko... wzrusza się byle czem... Właśnie mówił mi dzisiaj rano, że z chwilą, gdy będzie mógł wstać, chciałby wyjechać na wieś, przepędzić miesiąc na letniku.

Vacalopulo westchnął, pociągnąwszy się za nos, według swego zwyczaju. Zastanowił się na chwilę, poczem rzekł:

— Zaczekajmy jeszcze kilka dni. Sprowadźmy mu tymczasem adwokata. Niepodobna, żeby myśl o karze nie zjawiała się w jego umyśle.

— Sądzi pan, drogi mistrzu — zwróciła się Adrijanna do adwokata — sądzi pan, że kara będzie ciężka?

Cimetta zamknął oczy, rozwarł szerokie ramiona. Oczy Adrijanny napełniły się łzami.

W tej chwili usłyszano głos chorego w przyległym pokoju. Adrijanna rzuciła się ku niemu:

— Panowie pozwolą?

Tomasz z łóżka wyciągnął ku niej ramiona. Ale zaledwie spostrzegł oczy, zaczerwienione od łez, objął ją za ramię i, ukrywając na niem swe oblicze, rzekł:

— Jeszcze? więc jeszcze mi nie przebaczyłaś?

Adrijanna zacisnęła drżące wargi, nową łzy po-

pływały jej z oczu. Początkowo nie znalazła siły, by mu odpowiedzieć.

— Nie?—nastawał, nie odsłaniając twarzy.

— Ja, tak!—odrzekła nieśmiało, z sercem ściśnionem.

— A więc?—podjął Corsi, wpatrując się w jej oczy we łzach.

Ujął twarz żony w dłoń.

— Rozumiesz to, czujesz, nieprawdaż... — rzekł — że nigdy, przenigdy, nie opuściłaś mego serca, mej myśli, ty, święta moja, ty, bardzo ukochana!

Adrianna lekko gładziła mu włosy.

— To było bezceństwo!—ciągnął.—Tak, dobrze, że ci powiem, aby rozproszyc wszystkie cienie, które są pomiędzy nami. Bezceństwo, dać się zasłoczyć w chwili hańbiącej, głupiej zabawy. Rozumiesz to dobrze, gdyż mi przebaczyłaś! Głupi błąd, a ten nieszczęśnik chciał go wyolbrzymić, starając się zabić mnie—rozumiesz—dwukrotnie... Zabić mnie, mnie, który koniecznie musiałem się bronić, ponieważ—rozumiesz to! Nie mogłem, mimo wszystko, pozwolić się zabić dla tamtej kobiety, nieprawdaż?

— Dziękuję, doktorze, pan jest bardzo uprzejmy!—szydził Corsi.—Tak panu leży na sercu moje wyzdrowienie. Ale, słuchaj, Cimetta, słuchaj! Będę rozumował. Zabiłem się. Przychodzi doktor, o, ten doktor, tu obecny, ratuje mnie. Z jakiej racji mnie uratował? Jakiem prawem przywraca mi życie, które sobie odebrałem, jeśli nie mógł mnie wskrzesić dla dzieci, jeżeli wiedział, co mnie czeka?

Vacalopulo znów uśmiechnął się nerwowo, ale twarz jego pozostała ponura.

— Ot — rzekł — w jaki sposób mi dziękują? Cóż powinien być zrobić?

— Ależ dać mi umrzeć! — wykrzyknął Corsi. — Pan nie miał prawa usunąć mnie od kary, jaką sobie wymierzyłem, o wiele większej, niż moja wina. Byłbym umarł, gdyby nie pan! Co ja teraz robię? Za co mam panu dziękować?

— Ale, przepraszam, my, lekarze — odparł Vacalopulo zmieszany — my wszyscy lekarze mamy obowiązek wykonywać czynności, związane z naszym zawodem.

— Czem wasz obowiązek różni się od obowiązku policjanta? — z gorzką ironją zapytał Corsi.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — uniósł się Vacalopulo, głęboko poruszony. — Chciałby pan, aby doktor obchodził prawo?

— Dobrze! Pan służył prawu — począł Corsi z wściekłością. — Prawu, a nie mnie, biedakowi... Odebrałem sobie życie; pan mi je przemocą przywrócił. Trzy, cztery razy próbowałem zerwać opatrunek. Pan zrobił wszystko, by mnie uratować, by mi wrócić życie. I poco? Poto, aby teraz, z kolei, prawo mi je odebrało i to w sposób okrutniejszy. Oto dokąd pana zaprowadził pański obowiązek lekarza. Czy to nie jest niesprawiedliwość?

— Ale przepraszam — próbował wtrącić Cimetta — czyn, który popełniłeś...

Corsi dokończył zdanie:

— Zmyłem go swoją krwią... teraz jestem innym

człowiekiem. Urodziłem się po raz drugi. Jak można było, nawet na chwilę, łączyć moje obecne życie z poprzedniem, które już dla mnie nie istnieje. Zcze-
piąc, łączyć z fatalną chwilą, jakgdyby stanowiła całą moją egzystencję, jakgdybym był żył tylko dla niej? A moja rodzina? Moja żona? Moje dzie-
ci, które mam żywić i wychowywać, by doszły do czegoś w życiu? Czego pan jeszcze chciał ode mnie? Pan nie chciał, abym umarł... więc dlaczego pan tego nie chciał? Przez zemstę dla kogoś, który się zabił...

— Ale, który też zabił — odparł na to z mocą Cimmetta.

— Byłem w to losem wciągnięty — odpowiedział Corsi bez wahania — i wyrzuty sumienia za tę chwilę wyrwałem z siebie. W ciągu jednej godziny odpokutowałem winę, w ciągu jednej godziny, która mogła być długa, jak cała wieczność. Obecnie nie mam już nic do odpokutowania, inne życie zaczyna się dla mnie, nowe życie, które pan mi dał. Muszę rozpocząć życie dla mej rodziny, pracę dla mych dzieci. Pan mi przywrócił życie, aby mnie posłać do ciężkich robót? Czyż nie jest to straszną zbrodnią? Jakaż to sprawiedliwość, co na zimno karze człowieka, który już nie ma wyrzutów sumienia? Jak będę mógł w domu poprawczym odpokutować za winę, o której popełnieniu nigdy nie myślałem, której nigdy nie byłbym popełnił, gdybym nie był do tego popchnięty? Tymczasem teraz ci, którzy skorzystają z pańskiej wiedzy, doktorze, którzyś mnie, wbrew mej woli, utrzymał przy życiu

po to, by mnie ze spokojnem sumieniem skazano, popełnią najokropniejszą zbrodnię. Za twoją sprawą mam być skazany na zbydłecenie w haniebnem próżniactwie, a moje niewinne dzieci mają być skazane na plugastwo nędzy i pohańbienia? Jakiem prawem?

Wyprostował się, opanowany wściekłością, którą uczucie bezsilności czyniło drapieżną, zawył, począł drapać twarz paznogciami, rzucił się głową naprzód na łóżko, chciał wybuchnąć płaczem, ale nie mógł. Po tym zbędnym wysiłku był przez chwilę, jak ogluszony, jak zgubiony w dziwnej próżni, w okropnem pomieszaniu. Jego podrapana twarz była trupio blada.

Przestraszona Adrijanna rzuciła się ku niemu. Uniosła mu głowę, potem, z pomocą Cimetty, chciała go podnieść, ale zaraz, z krzykiem wstrętu i przestachu, cofnęła ręce: gors koszuli był przesiąknięty krwią.

— Doktorze, doktorzel

— Rana się otworzyła! — krzyczał Cimetta.

Doktor Vacalopulo, z błędnymi oczyma, jak wrośnięty w ziemię, zbladł:

— Rana?!

Instynktownie zbliżył się do łóżka. Ale Corsi jednym spojrzeniem swych szklistych oczu osadził go na miejscu.

— Ma rację! — rzekł doktor, opuszczając ręce. — Słyszeliście, państwo? Nie mogę, nie powinienem...



Luigi Pirandello

ŚWIATŁO ZPRZECIWKĄ

Było to wieczorem, w niedzielę, po powrocie z długiej przechadzki.

Pokój ten wynajął Tullio Buti blisko dwa miesiące temu. Gospodynie, w osobach pani Bianchi, małej, poczciwej staruszki, o dawnych poglądach, i Klotyldy, jej córki, w wieku prawie kanonicznym, nie widywały go nigdy; miał zwyczaj wychodzić raniutko i wracał dopiero, kiedy noc zapadła; wiedziały, że był przydzielony do ministerjum sprawiedliwości; wiedziały również, że miał tytuł adwokata; to było wszystko.

Nic nie zdradzało upodobań lokatora w małym, raczej ciasnym, skromnie umeblowanym pokoju; możnaby powiedzieć, że umyślnie, gorliwie i stale postanowił zachowywać się tak, jakby mieszkał w hotelu. Wprawdzie ułożył bieliznę w komodzie, powiesił kilka ubrań w szafie, lecz po za tem, nie było niczego na ścianach, niczego na żadnym z mebli, ani pudełka, ani książki, ani fotografii; nigdy nie leżało nic na stole, żadnej rozdartej koperty lub

rozłożonego dziennika, nigdy nie zapomniał żadnego przedmiotu na krześle, jakiegoś kołnierzyka, krawata, nic, coby wskazywało, że w tym pokoju był u siebie, że czuł się w nim swojsko.

Obie panie Bianchi, matka i córka, obawiały się, że nie zagrzeje długo u nich miejsca. Miały wiele kłopotu z wynajęciem tego małego pokoiku. Często go oglądano, lecz nikt nie chciał wynająć. W rzeczywistości, nie był on ani bardzo wygodny, ani bardzo miły, z jedynym oknem, wychodzącym na prywatną, wąską uliczkę, przez które nie dochodziło nigdy ani światło, ani powietrze, gdyż dom, stojący naprzeciwko, niby ekran, zasłaniał je i przytłaczał sobą.

Matka i córka chciały w jakiś sposób okazać temu upragnionemu lokatorowi swą wdzięczność za zamieszkanie w ich pokoiku; czyto starając się o jego drobne wygody, czyto okazując mu szczególne względy; obmyśliły i przygotowały sobie wiele sposobów po temu, gdy oczekiwały na jego sprowadzenie się do nich: „To mu zrobimy... tamto mu powiemy...” i jeszcze co innego... i jeszcze; szczególnie córka Klotylda poukładała sobie tysiące miłych grzeczności, tysiące różnych uprzejmości, jak nazywała to matka, o! ale zupełnie niewinnych, bez żadnej ubocznej myśli, takich, któreby nie były mu Przykre lub zbyt natarczywe.

Wszystko napróżno! Nie widywano go nigdy!

Być może, że gdyby wiedziały, zrozumiałyby natychmiast, że obawy ich były bezpodstawne. Ten ponury, ciemny pokoik, naprzeciwko którego stał

dom, przytłaczający go, zgadzał się z usposobieniem lokatora.

Tullio Buti chodził zawsze po ulicach sam, pogardzając nawet cygarem i laską, chociaż najzawziętsi samotnicy znoszą tych dwóch towarzyszy. Z rękami, zanurzonemi w kieszeniach palta, z głową w ramionach, namarszczoną brwią, a kapeluszem, nasuniętym aż po nos, zdawał się robić życiu najczarniejsze wyrzuty.

W biurze nie zamieniał nigdy słowa z żadnym z kolegów, którzy też nie byli jeszcze zdecydowani, jaki przydomek lepiej mu odpowiada: „sowa” czy „niedźwiedź”.

Nigdy nikt nie widział go wieczorem, wchodzącego do kawiarni, natomiast wielu zauważyło, że unika najbardziej uczęszczanych i najlepiej oświetlonych ulic, aby pograżać się w cieniu długich, odludnych uliczek, w oddalonych dzielnicach, że przysuwa się za każdym razem do murów, aby obejść kręgi światła, które od latarni spływały na chodniki.

Żaden gest mimowolny, żaden skurcz rysów twarzy, żadne spojrzenie lub poruszenie ust nie zdradziły nigdy myśli, które zdawały się go pochłaniać, ani czarnej rozpacz, w jakiej — rzekłbyś — był pograżony. Ale ten ból utajony, te myśli posępne, co się tłoczyły pod jego czołem, wyrażały się w całej jego fizjognomji. Spustoszenie, jakie boleść uczyniła w tej duszy, czytałeś wyraźnie w nieruchomości jego jasnych i bystrych oczu, w bladeści wychu-

dłego oblicza, w przedwczesnem posiwieniu gęstej, rozwichrzonej brody.

Tullio Buti nigdy nie pisał i nie otrzymywał listów, nawet nie czytał gazet; cokolwiekby się zdarzyło na ulicy, co pobudzało ciekawość tłumu, nie zatrzymywało go, nie odwracał się też nigdy, by się przekonać, co to się stało, a jeśli czasem schwytał go niespodzianie deszcz, Buti szedł dalej, tym samym krokiem, jakby się nic nie stało.

Nie wiedziano, co mógł robić w życiu. Być może, że i sam tego nie wiedział. Tolerował życie... Nie podejrzewał nawet, być może, iż mógłby je znosić odmiennie lub, że żyjąc inaczej, mógłby mniej odczuwać ciężar przykrości i smutku.

Nie miał dzieciństwa, nie był nigdy młody, nie, nigdy! Dzikie sceny, odbywające się przed jego oczyma od najwcześniejszego dzieciństwa, spowodowane brutalnością i okrutną tyranją ojca, zdusiły w nim wszystkie zarodki życia.

Po śmierci matki, którą w młodym jeszcze wieku zabiło bestjalskie postępowanie małżonka, cała rodzina się rozprzegła: jedna z siostr wstąpiła do klasztoru, brat wyjechał do Ameryki, on zaś sam, opuściwszy dom, tułał się po świecie; za cenę niewiarogodnych wysiłków wspiął się aż do teraźniejszej swej pozycji.

Obecnie już nie cierpiał. Zdawało mu się, wprawdzie, że cierpi; w rzeczywistości samo znaczenie bólu w nim zamarło. Zdawał się być ciągle pogrążony w myślach ponurych, lecz, w istocie, już nawet nie myślał. Umysł jego trwał, jakby zagu-

biony, w pewnego rodzaju ciemnej trwodze, z której nie zdawał sobie sprawy, chyba tylko o tyle, że odczuwał coś w rodzaju pewnej cierpkości w gardle. Krążąc wieczorem po pustych ulicach, liczył latarnie... nic więcej! albo spoglądał na własny cień; czasami zatrzymywał się przed ogrodami will i podziwiał cyprysy, zwarte i ponure, jak on sam, ciemniejsze, niż noc.

Tej niedzieli, zmęczony długą przechadzką po drodze Apijskiej, zdecydował się, wbrew swemu zwyczajowi, wrócić do domu. Było jeszcze za wczesnie, aby iść na kolację. Lepiej by o poczekać w swoim pokoju, aż dzień zamrze i nadejdzie godzina posiłku.

Dla pań Bianchi, tak matki, jak córki, była to bardzo miła niespodzianka. O! Klotylda klaskała w ręce, które z obmyślonych i przygotowanych starań, jaką z grzeczności i wyjątkowych uprzejmości okazać mu najpierw? Matka z córką narażwały się skrycie, ale naraz Klotylda tupnęła nogą, uderzyła się w czoło. O! mój Boże! Przecież lampal lampal Pierwsza rzecz, to było zanieść mu lampę, odświeżoną, postawioną specjalnie na uboczu, porcelanową, z makami i umbrą matową. Zapaliła ją i zapukała dyskretnie do drzwi lokatora. Drżała tak mocno ze wzruszenia, że umbra się chwiała, potracając szkiełko, które omal się nie zakopciło.

— Pan pozwoli? Niosę lampę...

— Nie, dziękuję — odrzekł z wewnątrz Buti — natychmiast wychodzę.

Oblicze starej panny skrzywiło się boleśnie,

spuściła oczy, jakgdyby lokator mógł ją zobaczyć i nalegała:

— Ale, proszę pana, jest już zupełnie gotowa...
To dlatego, aby pan nie siedział pociemku.

Buti powtórzył twardo:

— Nie, dziękuję...

Siedział na małej kanapce, poza stołem i mocno otwierał oczy, rozszerzone w mroku, który stopniowo gęstniał wewnątrz pokoju, gdy za szybą ostatnie blaski dnia konały smutnie.

Jakiś czas pozostawał tak, nieruchomy, z szeroko otwartymi oczyma, bez myśli, zapamiętawszy się, w ciemnościach, które go już otoczyły.

Nagle rozbłysło światło...

Zdziwiony, potoczył wzrokiem dookoła. Tak, jego pokój niespodziewanie się rozjaśnił; rozjaśnił się światłem spokojnym, słodkim, jak powiew tajemniczy. Co to było? Co się stało?

Aha! Światło przeciwka! W tej chwili zapalono lampę w domu na drugiej stronie ulicy; powiew obcego życia przeniknął, aby rozproszyć ciemności, próżnię, pustkę jego egzystencji...

Długą chwilę wpatrywał się w tę jasność, jak w cudowną rzecz, i potężna trwoga ścisnęła go za gardło, gdy spostrzegł z jaką słodyczą kładła się na łóżku, na ścianach, a także i na jego bladych rękach, położonych na stole. A z trwogi tej narodziło się wspomnienie zniszczonego ogniska domowego, uciśnionego dzieciństwa, zgnębionej matki, i była dla niego ta jasność, jakby blaskiem jutrze-

ki, jutrzeńki dalekiej, która rzucała promienie w noc jego duszy.

Podniósł się, podszedł do okna i ukradkiem, z poza szyby, spoglądał nadół, w okno tego domu zprzeciwka, skąd padało światło.

Urzał małą rodzinę, zebraną wokół stołu, przy posiłku; ojciec i troje dzieci już siedzieli; matka stała jeszcze, usługując im, i usiłowała — mógł wyrozumieć to po ruchach — pohamować niecierpliwosć dwóch starszych, które machały łyżkami i kręciły się na krzesłach. Najmłodszy wyciągał szyję, kręcąc na wszystkie strony jasnowłosą główką; zapewne ściśnięto mu zbyt mocno serwetkę na szyi, a jednak, gdyby matka pośpieszyła się i prędzej dała mu jeść, nie czułby zapewne tej niewygody, jaką sprawiała za mocno związana serwetka. I nareszcie! O! rzeczywiście, z jaką żarłocznością dziecko rzuciło się na jedzenie! cała łyżka znikła w jego buzi... Ojciec zaś, osłonięty parą, co unosiła się z jego talerza, uśmiechał się. Teraz i matka z kolei usiadła, właśnie nawprost... Tullio Buti instynktownie zrobił ruch, jakby chciał skoczyć wtył, bowem, siadając, podniosła oczy ku oknu, ale opamiętał się, że, stojąc w ciemnym pokoju, nie może być widziany; pozostał więc na miejscu, obecny niejako przy wieczerzy tej malej rodziny, a zapomniawszy zupełnie o swojej.

Od tego dnia, co wieczór, po wyjściu z biura, wracał do domu, zamiast, jak poprzednio, przedsiębrać długie, samotne przechadzki; co wieczór oczekiwał, aby w ciemności jego pokoju, lampa

zprzeciwka wniosła blask jutrzeńki i krył się tam, jak żebrak, aby z niepojętą trwogą sycić się tą miłą i pieśczośliwości pełną poufałością, tym posiłkiem familijnym, którego zażywali inni, a którego, dzieckiem będąc, zażywał i on, przez parę zaledwie wieczorów, gdy matka... jego matka... jak ta, tutaj... I rozplakał się.

Tak, był to cud, który działo światło z tamtego domu. Straszna ciemność, w jakiej dusza jego była pogrążona przez szereg długich lat, rozproszyła się, pod wpływem tej spokojnej jaśni.

Tullio Buti nie myślał wcale o różnych przypuszczeniach, jakie to siedzenie pociemku obudziło w umyśle gospodyni i jej córki.

Dwukrotnie jeszcze Klotyllda ofiarowała mu lampę; napróżno! Gdyby przynajmniej zapalił świecę! Ale i tego nawet nie robił.

Czy był cierpiący? Klotyllda ośmieliła się zapytać go o to, głosem czułym, poprzez drzwi, gdy po raz drugi przysła, niosąc lampę. Odpowiedział jej:

— Nie, tak mi jest bardzo dobrze...

Koniec końców... Boże drogi, czyż można z tego powodu mieć do niej pretensji... że przez dziurkę od klucza podpatrywała go i, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, Klotyllda również w małym pokoiku lokatora spostrzegła blask, bijący z okna tamtego domu, z mieszkania Mascich, i zobaczyła także lokatora, jak stał koło okna i pilnie wpatrywał się przez szyby w okno Mascich...

Wówczas Klotylda, przejęta tem do głębi, pobiegła, aby oznajmić matce wielkie odkrycie:

— Zakochany jest w Małgorzacie! w Małgorzacie Masci! zakochany...

W parę dni później, Tullio Buti stał, jak zwykle, na czatach u okna. Rodzina, jak codziennie, zgromadziła się przy posiłku, ale tego wieczora ojciec był nieobecny. Ze zdumieniem zobaczył, że do mieszkania naprzeciwko weszła naraz jego gospodyni, staruszka, wraz z córką, i że je tam przyjęto, jak stare, dobre znajome. W pewnym momencie Tullio Buti odskoczył od okna, zmieszany, i ciężko oddychał.

Matka i jej troje dzieci podniosły naraz wzrok ku oknu i spojrzały w nie. Bezwątpienia, obie przybyłe kobiety poczęły mówić o nim.

A zatem? Zatem wszystko to będzie się musiało skończyć. Nazajutrz wieczór, mamusia lub jej mąż, wiedząc już, że on stoi potajemnie, w swym pokoju naprzeciwko, pociemku, zamkną okiennice; a więc, od jutra nie dojdzie już do niego blask tego światła, którem żył, to światło, które było jego niewinną rozkoszą, jego pocieszeniem....

A jednakże nie stało się tak.

Nawet tego samego wieczora, gdy światło naprzeciwko zagasło i gdy, pogrążony w ciemności, poczekawszy jeszcze chwilę, aby mała rodzina udała się na spoczynek, otworzył pocichu okno, aby odświeżyć powietrze, spostrzegł, że okno naprzeciwko również jest otwarte i wkrótce potem, ukryty w cieniu, poczuł, mimo to, pewien dreszcz, jakby przera-

zenia, bo zobaczył w obramieniu okna kobietę, zaciekawioną prawdopodobnie tem, co jej o nim opowiadały panie Bianchi, matka i córka.

Obydwa budynki, stojące naprzeciw siebie, na wysokiem podmurowaniu, przedzielone małą odległością i otwierające wzajem na siebie oczy swych okien, zasłaniały zarówno jasny pas nieba, jak i ciemny pas ziemi, w tej uliczce, zamkniętej kratą na końcu; nie dopuszczały nigdy, aby przedarł się tutaj promień słońca lub światło księżyca.

To też nie mogła stanąć u okna w innym celu, jak tylko dla niego, zapewne wskutek tego, że go spostrzegła samego, jak stał, wsparty na łokciu, w mroku.

W tych ciemnościach zaledwie byli w stanie odgadnąć siebie. Ale on oddawna już wiedział, że była piękna; znał już wdzięk jej każdego ruchu, błyski jej czarnych oczu, uśmiech jej pąsowych ust.

A jednak po raz pierwszy, z powodu tego nieoczekiwanego wydarzenia, które go wzruszyło i przerywało mu oddech drżeniem niepokoju, prawie nie do wytrzymania, doświadczył raczej przykrości, niż jakiegokolwiek innego uczucia, i musiał zadać sobie gwałtowny wysiłek, aby nie odejść w głąb pokoju, lecz czekać, że ona odejdzie pierwsza.

Marzenie o spokoju, miłości, słodkiej i drogo-cennej serdeczności, które osnuł dokoła tej rodziny, a których, przez odbicie, i on również kosztował, marzenie to rozprysło się, gdyż obecnie, po ciemku, a skrycie, ta kobieta stała u okna z powodu obcego mężczyzny... Ale czyż tym obcym nie

był on sam? Przed odejściem w głąb pokoju, przed zamknięciem okna, szepnęła:

— Dobranoc!

Co obmyśliły na jego korzyść tamte dwie kobiety, aby w ten sposób obudzić i rozpaścić ciekawość tej trzeciej? Jakiż dziwny i potężny wpływ wywarła na niej tajemniczość jego zamkniętego w sobie życia, skoro, od pierwszego razu, pozostawiając swych malców, podeszła ku niemu, jakgdyby chciała dotrzymać mu przez chwilę towarzystwa!

Tak więc, choć oboje unikali wzajemnie spoglądania na siebie i udawali, że stoją u okna bez żadnej określonej myśli, oboje, jedno naprzeciw drugiego, tak blisko siebie oboje — był tego pewien — drżeli tym samym dreszczem oczekiwania, oczekiwania czegoś nieznanego i stali, zdumieni czarami, co działały w ukryciu. Gdy, późno w noc, zamknął nareszcie okno, był pewny, że nazajutrz, po zgaszeniu lampy, ona znów stanie u okna, dla niego. I tak było w istocie.

Od tego dnia Tullio Buti nie oczekiwał już więcej w swym małym pokoiku światła z domu przeciwnika; przeciwnie, z niecierpliwością oczekiwał chwili, w której światło gasło.

Namiętność miłości, której dotychczas nie znał, wdarła się, chciwa, bezlitosna, w serce tego człowieka, zatrzymywanego tak długo poza nawiasem życia; taka sama namiętność opanowała tę kobietę, porwała ją z sobą i uniosła, jak liść, podczas wichury.

Tegoż samego dnia, gdy Buti opuścił pokój

Bianchich, wybuchła, jak bomba, wiadomość, że pani z trzeciego piętra, z domu naprzeciwko, pani Masci opuściła męża i troje dzieci.

Pokoik, w którym prawie cztery miesiące mieszkał Buti, pozostał pusty; przez długie tygodnie nie oświetlany był też pokój zprzeciwka, w którym mała rodzina co wieczór gromadziła się przy kolacji.

Potem światło znów się zjawilo ponad smutnym stołem, a przygnieciony nieszczęściem ojciec spoglądał na wystraszone twarze trojga siedzących wokół dzieci, które bały się skierować wzrok ku drzwiom, które dy wchodziła co wieczór matka z dymiącą wazą.

Światło to, zjawiwszy się ponownie ponad smutnym stołem, zaczęło znów oświetlać łagodnie opuszczo..y pokoik zprzeciwka.

Czy trzeba było, aby Tullio Buti i jego kochanka przypomnieli to sobie w kilka miesięcy po swym okropnym czynie?

Pewnego wieczora, przerażone panie Bianchi ujrzały swego dawnego lokatora; był wzburzony i nie panował nad sobą. Czego chciał? Pokoiku? o ile nie był jeszcze wynajęty. Nie, nie dla siebie, nie poto, aby w nim zamieszkać. Jedynie poto, aby móc pokryjomu przyść do tego pokoju, choć na godzinę, choć na kilka minut. O! przez litość, przez litość dla biednej matki, która zdaleka, nie będąc widzianą, chciałaby zobaczyć swe dzieci! Przedsięwzma wszelkie os'rożności, przebiorą się, jeżeli będzie tego potrzeba; każdego wieczora skorzystają

z chwili, gdy schody będą puste; zapłaca podwójne... potrójne komorne za te kilka chwil...

Nie, pani Bianchi nie chciały się zgodzić; pozwoliły jedynie do dnia, w którym pokój będzie wynajęty, by od czasu do czasu... pod warunkiem, ażeby nikt o tem nie wiedział... od czasu do czasu...

Następnego dnia przyszli, jak dwoje złodziei. Wyczerpani, weszli w ciemność pokoiku i czekali, by lampa zprzeciwka rozbudziła w nich na nowo blask jutrzeńki.

Światło to, padając zdaleka, tak, jak obecnie, miało ich podtrzymywać w życiu.

Oto zabłysło nareszcie! Początkowo, Tullio Buti nie mógł na nie patrzeć. Jakże to światło zdawało mu się teraz zimne, nieufne, niedobre, widmowe! Ona zaś przeciwnie. Wpatrując się w nie chciwie i szlochając przytem głośno, czuła się pokrzepioną widokiem owego światła; rzuciła się do okna, przyciskając mocno chusteczkę do ust. Jej dzieci... jej dzieci... jej dzieci... o, tam!... przy stole... nieświadome...

Poskoczył, aby ją podtrzymać, i pozostali tak oboje, spleceni w uścisku, jak przykuci do miejsca, wypatrując...



Roberto Bracco



ZBRODNIĘ MĘŻCZYŹN

Gustaw Arigenti i Rudolf Karowski poznali się zaledwie kilka dni temu w odludnej, pierwotnie urządzonej, oberży, co, niby narośl na skale, wysuniętej nad morzem, zdawała się, dzięki jakiemuś kaprysowi gór, wbrew, rzekłbyś, wszelkiej możliwości, poprostu domkiem z kartonu w szopce. Wyjątkowo dobry obiad, przyrządzony, dzięki chwilowo szczególnemu usposobieniu poczciwego oberżysty, wprowadził obu gości w stan serdecznego ożywienia. Przelamało to lody powierzchownej znajomości współbiesiadników, siedzących naprzeciw siebie, przy stole, przepelnionym smakołykami i lśniącym od szklanek, zabarwionych winem. Poznali się lepiej. Rudolf Karowski wiedział, że Gustaw Arigenti jest osobnikiem o duszy szlachetnej i o wyższym, acz ociężałym umyśle, któremu pewna zamożność pozwala oddawać się próżniactwu... A Gustaw Arigenti zaś wiedział, że Rudolf Karowski jest duchem niespokojnym, artystą, nieznużonym autorem powieści i nowel, co wyjechał

z Polski do Włoch dla studjowania obyczajów i języka, którym już teraz posługiwał się z wielką biegłością. Rozmaitość kolei życia. Różność temperamentów. Wspólny mieli tylko wiek: po czterdzieści lat. Zgadzałi się też z sobą na punkcie niektórych upodobań, niektórych przyzwyczajęń, jak na przykład, uciekali czasem na długie miesiące od gwaru życia towarzyskiego. Oprócz tego, zgadzali się z sobą pod względem szczególnego zapatrywania na pleć piękną, mianowicie, że instytucja „Kobiety” wogóle tak dobrze się powiodła, iż, ze względu na nią, można przebaczyć Opatrzności błąd, jaki popelniła, tworząc świat.

— O! kobieta! kobieta! — wykrzykiwał, egzaltując się, Polak, gdy zgodnie wymienili pierwsze myśli. Pisałem o nich wiele. I będę pisał w dalszym ciągu. Nigdy dość się o tem nie napisze. I nigdy nie napisze się dość na ich korzyść i w ich obronie. Teraz przygotowuję tom nowel. Każda będzie miała osobny tytuł. A cały tom zatytułuję: „Zbrodnie mężczyzn”. Napiętnuję z dramatyczną siłą rzeczywistości i zgryźliwym sarkazmem zbrodnie, które popelnia mężczyzna moralnie i fizycznie, działając z nakazu swych wad męskich. I niech ten rzuci pierwszy kamieniem, co ma sumienie, wolne od wyrzutów.

Gustaw Arigenti, którego oczy, zwykle spokojne, rozbłysły pełnem drzeń światłem, pokiwał głową. Polak zaczął wicherzyć nerwowo ręką czub włosów gęstych, długich à la Chopin; zakrywały mu one czoło, aż po wielkie oczy, koloru szyl-

kretu. Potem z uprzejmym uśmiechem, tonem przyjacielskim, spytał:

— Czy w tej chwili nie budzą się może w pańskim sumieniu wyrzuty, dotąd uspięne?

— Jeden wyrzut, ale potężny budzi się w sumieniu — oświadczył zapytany, w niespodzianym, trwożnym wylewie serca. Wiem, że wyrządziłem krzywdę jednej kobiecie i, na nieszczęście, krzywdę większą, niż wszystkie wyrządzone zbrodnie, o jakie wy, obrońcy kobiety, oskarżacie mężczyzn.

Głęboki żal przejął Rudolfa Karowskiego, że był na tyle niedyskretny i zamącił dobry humor i trawienie swego nowego przyjaciela. W milczeniu, spoglądając na jego oblicze, pogrążone w cieniu smutnych wspomnień, zaczął napychać i zapalać amerykańską fajeczkę. Lecz, gdy żal minął, przerwał śmiało milczenie, poprzedzając słowa kłębem dymu. Był teraz jeszcze bardziej niedyskretny, niż poprzednio:

— Chcę tworzyć swe dzieła z pierwiastków, zapożyczonych z rzeczywistości. I dlatego chciałbym dokładnie poznać pańskie zdarzenie. Czy by, by pan tak uprzejmy i zechciał mi je opowiedzieć.

Prawie zuchwała niedyskrecja odniosła skutek:

— Zachęca mię pan, bym się dobrowolnie dręczył — westchnął tamten. — Mimo to jednak, dobrze, opowiem panu. Nie mogę mu odmawiać tej drobnej przysługi.

Wyszli na przyległy taras. Oparli się o balustradę. Mieli wrażenie, że znaleźli się w aeropla-

nie, cudownie umieszczonym w nieskończoności pustej przestrzeni. Pod nimi otwierała się niezmiernie rzona otchłań, w głębi której rozprzestrzeniało się nieobjęte morze. Groźne w swoim ogromie, kołysało się spokojnie, ledwo muśnięte łagodnymi podmuchami poczynającej się, jeszcze trwożliwej, jesieni i zdobiło się, roześmiane, igrające szalonymi barwami nieba, na którym żarzyła się pożoga purpurowego zachodu słońca.

— Z tego obrazu wspaniałej piękności — zauważył Rudolf Karowski — istota ludzka jest usunięta zupełnie. My tu czujemy się wyodrębnieni od wszystkiego. Możemy spoglądać na nędzę życia zupełnie bezstronnie. Tem lepiej. Niechże pan opowiada, drogi panie. Niech pan opowiada!

Gustaw Arigenti, skupiwszy się w sobie, uprzedził:

— Jestem może złym opowiadaczem. Pójdę śladem mych wspomnień z pośród tych, które pamięć zachowała bardzo drobiazgowo.

I zaczął mówić:

— Miałem trzydzieści lat. Byłem wówczas, jak i teraz, wyznawcą zasad próżnowania i, jak teraz, uciekałem dość często od gwaru miasta. Próżniactwo moje przewyciężała niekiedy żyłka alpinisty. Byłem więc alpinistą, ale nie z zawodu, nieprzygotowany i, wskutek tego, niedoświadczony. W ten sposób, pewnego dnia, nakreśliłem sobie plan przechadzki popołudniowej z miasteczka wysokiej Irpinji, dokąd wuj mnie zaprosił, do podnóża góry, której nawet nazwy nie znałem, a która, widziana

zprzodu, zdawała się stożkowata, stroma, cała najeżona zaroślami kosodrzewia i miejscami poroździerana, jakby wskutek kataklizmu natury. Góra ta rozpałała we mnie alpinistę i zamierzałem wspiąć się na nią. Czepiając się darni, wyplątując z pomiędzy poskręcanych krzaków jeżyn, kalecząc się kolcami powykrzywianych dziwacznie roślin, wydobywając się z jednych zarosli, przebijając przez inne, ocierając się o krawędzie skał, poza którymi rozstępowały się ciasne przepaści—uszedłem dobry kawałek drogi. Ścieżynka górską, którą szczęśliwie odkryłem, dodała mi odwagi, by pisać się wyżej. Wyżej... wyżej... coraz wyżej... Wiedziałem dobrze, że nie dażę na szczyt jakiejś znanej góry. Wiedziałem dobrze, że pomiar wysokości sprowadziłby na właściwy poziom i ujednoznaczniał z igraszką natury górę, na którą się wdrapywałem, a, mimo to, odczuwałem upojenie i dumę alpinisty-badacza. Zdawało mi się niemal, że jestem niewiele mniej sławnym, niż pułkownik Frémont lub księżę Abruzzów — wyobrażałem sobie prawie, że niosę z sobą flagę, aby ją utkwic na stromym obelisku, wzniesionym na znak zwycięstwa.

W pewnej chwili spostrzegłem, że ta błogosławiona góra nie kończy się tam, gdzie mi się zdawało. Byłem znużony. Duma i upojenie legły na mnie ciężarem. Słońce zachodziło nie tak radośnie, jak dzisiaj... lecz smutnie, bezbarwnie, kryjąc się poza szarą zasłoną gęstych, nieruchomych obłoków. Zatrzymałem się parę chwil, by oczy nacieszyć tym widokiem, który jednak tymczasem rozpraszał się,

popsuł, zatracił w tej rozkołysanej szarzyźnie, jakby ziemia się roztopiła i, zamiast ucieszyć, zgnębił mię, zaniepokoił. Postanowiłem więc zawrócić. Zdezorientowany, zboczyłem ze ścieżki, którą przyszedłem. Robiło się coraz ciemniej. Schodziłem naoslep, z rękami, wyciągniętymi przed siebie nakształt maciek wśród poplątanych zarośli, stopami szukając gruntu, co chroniło mnie przed nieustannem niebezpieczeństwem runięcia w otchłań. Straciłem odwagę. I już myślałem zaniechać marszu i usiąść gdziekolwiek, aby przeczekać tę noc nieskończoną, zamiast narazić się na grożące zewsząd niebezpieczeństwo upadku, gdy wdała się w to Opatrzność. W pewnej odległości przed oczyma memi zamajaczył nędzny białuteński domek, z którego promieniował pas słabego światła. Nie wahałem się. Ruszyłem naprzeciw, w stronę domku. Podszedłem bliżej płotu, który go otaczał, i zatrzymałem się, by uprzednio poznać miejsce. Drzwi, ponad którymi umieszczony był niezdarnie namalowany krzyż, stały otworem i ukazywały wnętrze wieśniaczej izby. Od zadymionego tła pod okapem, jakby płonący obraz w żółtych promieniach światła oliwy, odcinała się twarz starca, sucha, poprzerzynana zmarszczkami i usiana na policzkach i brodzie, jakby białymi szpilkami. Po chwili starzec, dotąd nieruchomy, dźwignął się na odgłos mych kroków.

— Pozdrowienie i pokój przechodniowi — rzekł na progu głosem łagodnym i pokornym.

Przeskoczyłem płot. Pochylił się w ukłonie i powtórzył pozdrowienie dla przechodnia. Odwzajem-

niłem mu się również pozdrowieniem i wyznałem, że nie jestem przechodniem, któremu uśmiechałaby się myśl, aby przejść i iść dalej. Natychmiast zaoferował upragnioną gościnę.

— To jest lepianka Tadeusza Arparo, którym ja jestem; jest to przytułek dla każdego chrześcijanina, który tu przybywa, jest głodny lub spragniony, albo senny lub też lęka się góry, okrytej nocą.

Gdy ujrzałem go zbliżka w tym jego ubiorze góralskim, malowniczo stylizowanym, który przypominał mimowoli pracownię garderoby teatralnej, zdawał mi się on być raczej istotą ze sceny. Także i słowa jego, niemal skandowane, i drżący głos miał w sobie coś teatralnego. Niemniej, pojąłem, że była w nim prosta, szczerza gościnność, którą prawie wyczuwało się w powietrzu, i to napełniło mi radością ciało i duszę.

— Jesteś wielkim panem — rzekł do mnie. — To widać. Ale tu musisz o tem zapomnieć. I przyjmij to, co ci mogę ofiarować. Chcesz może gorącej polewki? lub szklaneczkę wina? A może łyk wody błogosławionej, co wytryska tam, dokąd raz padła promienna strzała gwiazdy?... Mów, o wielmożny panie! I rozkazuje! Usłużę ci sercem chrześcijańskim, albowiem jestem chrześcijaninem, tak, jak i ty, gdyż poznać to odrazu. I w tej izbie, ubogiej i poczerńniętej od dymu drzewa z ogniska, możesz mieć, jeśli zechcesz, łóżko, prawie godne ciebie, wprawdzie, ze słomianym siennikiem, lecz z prześcieradłem, pachnącem lawendą, białem, świeżem i czystym.

n'emal, jak prześcieradło na twem wielkopańskim łóżu.

Poprosiłem o cudowną wodę, którą przyniósł mi w glinianym dzbanku i od której, naturalnie, oczekiwałem tylko błogosławieństwa orzeźwienia i jakkolwiek zdawało mi się, że jestem daleki od snu, aby jednak nie okazać się wybrednym, przyjąłem proponowany spoczynek. Wtedy zawołał:

— Mannarella! Mannarella!

I ukazała się Mannarella.

— Nareszcie jesteśmy u celu — przerwał Polak.

— Tak, jesteśmy u celu! Ale niech pan sobie nie wyobraża, że, wskutek tego właśnie, opowiadanie staje się dla mnie dręczącym.

A więc mówiłem... mówiłem, że ta, którą starzec nazwał Mannarella, imieniem niespotykanem w żadnym kalendarzu, ukazała się. Zaledwie weszła, zatrzymała się ruchem kota, który nie chce podejść, dopóki się nie przekona, że nie potrzebuje obawiać się nieprzyjaciela. Z szeroko rozwartych na moment oczu padło ku mnie spojrzenie szybkie, płomienne, oslepiające, jakby przesycone elektrycznością. Miałem wrażenie, że uderzył we mnie piorun, który cudem jakimś jest bezgłośny i nie ma mocy zabijania. Starzec kazał posłać dla mnie łóżko, tak, abym mógł spać wygodnie, ona zaś usłuchała go natychmiast, nie opierając się, nie wzdragając, ale poruszała się leniwie, powoli, powolnością tak umyślną i równą, jakby to było w czasie zdjęcia kinematograficznego, o akcji, najbardziej powoli obmyślanej. Ja siedziałem w kącie, na ławeczce,

zmieszany, oniemiały, obserwując ją uważnie, a nieruchomości mojej niczem nie możnaby było usprawiedliwić, gdyby nie spojrzenie jej oczu, skierowanych ku mnie! Lecz oczy te nie spoglądały już na mnie. Nawet unikały patrzenia w mą stronę. Ale od czasu do czasu z pod gęstych i długich frendzli rzęs, co okalały półprzymknięte powieki, z pomiędzy posepnie sinawych głębokich orbit, dostrzegałem źrenice zielone, to znów szare, posiatkowane czerwone, niby źrenice tygrysa, co wwiercały się we mnie i badały mnie, płonąc blaskiem fosforycznym. Znieruchomiały, śledziłem przedewszystkiem jej oczy. Oczywiście, że nie uszło mej uwagi nic ze szczegółów, dotyczących jej osoby. Widziałem, że nie była ubrana, jak wieśniaczka, i że beładna odzież, nędzna i ciemna, tworzyła rodzaj futerału wokół elastycznego, doskonałego, młodego ciała. Widziałem, że jej twarz owalna była biała białością bez życia i że natomiast jej włosy czarne, zebrane w węzeł nad karkiem, a rozsypane niesfornie nad małym czołem, zdawały miotać się pod wpływem wybijanej wzmożonej siły żywotnej; i widziałem, że jej gołe nogi posuwały się naprzód dumnie, po pańsku. A że, jakkolwiek zabrudzone od zetknięcia z podłogą, miały jednak ten zarys czystości, jaki mają rogi, wykute w marmurze. Ale nie to wszystko panowało nade mną; przybierało to raczej charakter kształtów zwiewnych postaci, które widzujemy w półśnie. Tylko jej oczy mnie porywały, jej oczy! Tylko jej oczy dawały mi odczuwać obecność rzeczywistości, wobec której nie mogłem pozostać obojętny.

Starzee, który, stojąc obok mnie, śledził robotę dziewczyny, podkreślił moje milczenie.

— Jesteś małomówny, wielmożny panie?

— Jestem zmęczony.

— Widzisz, jak ci ściele łóżko Mannarella?

— Znakomicie!

O niej to chciał mówić:

— To jest Mannarella, moja Mannarella. Nieznośna jest, ale dobra. Pracuje, gdy może. Nie zawsze może. Jest chora. Na co?... Nie wiem. I jakich lekarstw trzebaby było dla niej? Trudno sprowadzić tutaj, w góry, lekarza. A iść z nią, by go szukać, nie próbowałem. Musiałbym związać ją i nieść na plecach, jak worek kasztanów. Dla niej gdzie indziej poza górami — to śmierć. A zresztą nienawidzi lekarzy. Nienawidzi, bo nie rozumie, czym są. Tłumaczę jej. Nie rozumie. Cóż mam robić?... Polecam ją Bogu, który jest wszędzie, i którego nie potrzeba szukać. A jeśli On mi ją uleczy, będzie to lepiej, niż gdyby ją uleczyli doktorzy.

Mannarella kończyła ślać łóżko, ciągle niewzruszona, obca wszystkiemu. Przysiągłbym, że nic nie słyszała. A z jej oczu bez przerwy wybiegały białe fosforyczne, które zukosa mnie śledziły. We mnie, com tu od początku stał się wrażliwym na tajemniczość choroby, nieruchomość poprzednia zamieniła się w drżenie. Aby przerwać milczenie, zapytałem stariego:

— Czy Mannarella jest pobożna?

— Do kościoła — odrzekł — nie chodzi. Jest tu kościół niedaleko, z tamtej strony góry. Nie

chodzi tam. I nie widzę nigdy, by się modliła przed obrazem Matki Boskiej Różańcowej, zawieszonym na ścianie ładnej stancyjki, którą mogłem dla niej przeznaczyć w tej chałupce. Ale jest chrześcijanką, gdyż wymawia imię Boskie z szacunkiem, wpatruje się w niebo pobożnie i czule pięści ptaszka, co upadnie martwy z zimna. Zabić nie umiałyby nawet muchy, a chociaż nie grzeszy, czyni pokutę niejednokrotnie, poszcząc z żalu za grzechy, jak to czynią prawdziwi chrześcijanie.

Tymczasem Mannarella, skończywszy zadaną jej pracę, stanęła nieruchoma, z opuszczoną głową i zwieszonemi ramionami.

— Teraz — zwrócił się do niej starzec, czyniąc głową ruch podziękowania — możesz wrócić do siebie, do swej zwykłej samotności w izdebce. Nieznośna jesteś. Idź już, idź!

Nie poruszyła się.

— O, patrzcie! Nie chce ci się stąd iść? Dlaczego ci się nie chce?

Nie odpowiedziała i po chwili zwłoki odeszła. W istocie jednak czyż można powiedzieć: szła. Była to chyba zjawą, którą leciuchno unosił tajemniczy fluid. Starzec napomniął ją:

— Pokłoń się wielmożnemu panu. Pocałuj go w rękę.

Ona nagle uklękła przede mną, porwała rękę, którą usuwałem, musnęła ją lodowatemi wargami i, drżąca, uciekła. A od miejsca, zaledwie dotkniętego jej ustami, rozszedł mi się od stóp do głów, jakby prąd lodu.

— Chora jest — pomyślałem. Ale jaki związek z tą osobą może mieć ta jej choroba, która mnie męczy, jak zmora?

I, aby przerwać to zawile dociekanie, zrobiłem pytanie, które kielkowało w głębi mego umysłu:

— Wy, Tadeuszu Arparo, jesteście dziadkiem Mannarelli?

Był zadowolony, że może znów zacząć mówić o niej:

— Nie, nie jestem jej dziadkiem. Znalazłem ją pewnego ranka za płotem, zawiniętą w pęk trawy. Mogła mieć około roku. Była napółżywa. Podniosłem ją, rozgrzałem. Ożyła w mych ramionach. Zaczęła płakać. Krzyczała, ach, jak krzyczała! Jaką rozrywką był mi ten płacz, ten krzyk! Jaką rozrywką w mej samotności! Stworzonko, porzucone przez jakąś podłą kobietę, przybywało, by mi dopomóc w walce z życiem. Manna pustyni!... I dałem jej imię Mannarella... Później... zamiast pomagać mi żyć... mój Boże! zmarnowała mi starość. Ale to nic... Zawsze nazywam ją Mannarella.

Nastąpiły wspomnienia czasu, wspólnie przyżytego. I z pomiędzy półcieniów przeszłości, która przewijała się, wywoływana drżącym głosem tego pocziwca, widziałem przykre, smutne, żalose dzieciństwo dziewczęcia, porzuconego przez wyrodną matkę, i rozwój jej piękności sfinksowej wśród zuchwałego niepokoju, ponurych smutków, płaczu cichego lub szalonego, wśród przepalającej gorączki, omdleń z powodu anemji, duszności zgub-

nych i nie do opanowania. O! wszystko przyczyniło się do podniecenia mej wyobraźni, do rozjątrzenia mej wrażliwości, do spoglądania na tę dziewczynę, jako na istotę niezmierną, która miała w sobie fatalną siłę Nieznanego...

Nie chciałem słuchać dłużej opowiadania o niej. Pożegnałem starca:

— Do jutra zatem, mój dobry człowieku, do jutra!

— Nie — uwiadomił mnie — jutro nie będę mógł się z tobą pożegnać. Udaję się dzisiejszej nocy w drogę, aby o świcie przybyć do Villareina. Tam, zaledwie wzejdzie słońce, poniosą w procesji statwę Świętego Vitalisa. Chodzę tam co roku, gdyż uczyniłem kiedyś pewien ślub. I dlatego teraz cię żegnam, wielmożny panie, sercem chrześcijanina i dziękuję, że zaszczyciłeś mą rudere twem zaufaniem!

Powstrzymałem okrzyk dziwnego przerażenia, który mi się z duszy wydierał, a którego nie mogłem sobie wytłumaczyć. Wyciągnąłem z kieszeni sakiewkę, aby naprzód już uiścić się z długu. Powstrzymał mnie pokornie, zakazując mi tego. Potem zwrócił me oczy na rodzaj puszek z ordynarnej majoliki, na której był napis: „Charitas”.

— Po powrocie, niech znajdę tam obola, który da wyraz twej wspaniałomyślności.

Pozostałem sam. Zamknąłem drzwi, któremi wszedłem. Te, które prowadziły do wnętrza chałupki, były wyrwane z zawiasów, to też musiałem przestać na tem, że je przysunąłem do kołatki.

Tymczasem poczułem, że słabnę. Jakaś obręcz ścisnęła mi głowę. Usta miałem suche, czułem w nich gorycz i cierpkość. Odnalazłem na stole dzbanek z cudowną wodą. Wypiłem sporo. I stała się rzecz dziwna. Tym razem woda, o której cudowności wątpilem, wyświadczyła mi istotnie ogromne dobrodzieństwo. Nie mogłem temu zaprzeczyć, pomimo braku jakiejkolwiek wiary w tym kierunku. Spokój olimpijski ogarnął mnie stopniowo. Moje uprzedzenia, nie dające się określić, kędyś się rozproszyły. I wkrótce spokój przeszedł w błogie zamglenie umysłu, które poprzedza sen. Począłem się rozbierać. Lecz nadszedł przemożny sen i, nim się rozebrałem, upadłem na łóżko.

Tu, drogi przyjacielu, kończy się moją rozwlekłość. Opowiadając panu koniec tej pamiętnej przygody, będę bardzo zwięzły, bo jakkolwiek zachowałem niezatarte wrażenia, jednak zbiorowo, w nieładzie. Muszę raczej nieco samowolnie je uporządkować, aby skupić tok opowiadania.

Zmiana dekoracji. Spokój minął. Wracamy do zamętu. Przypominam sobie, że chwile, które poprzedziły moje przebudzenie, były straszne. Miałem wrażenie, że zmora mię przytłacza. Dusilem się. Chciałem się obudzić. Nie mogłem. Zdawało mi się, że jestem żywcem pogrzebany. Próbowałem kilkakrotnie dźwignąć płytę grobu. I żadna siła ani materialna, ani duchowa człowieka nie da się porównać do siły, nie wiem... duchowej czy materialnej... zapomocą której, pogrążony we śnie, usiłowałem pokonać potęgę snu. Wreszcie zbudziłem się... pod

urokiem jej oczu... Przywidzenie? Żłuda, fantazja?...
Nie! Jej oczy, jej dziwne oczy, jako niezbita rzeczywistość, trwały tuż obok mnie, nade mną, roz-
warte szeroko, jak w tym samym momencie, gdy
sposzregła mnie, wezwana przez starca. I dzierżyły
mnie te oczy, panowały nade mną, ujarzmiły mnie
z okrucieństwem i słodyczą. W olbrzymich źreni-
cach, to chwilami szarych i posiatkowanych czer-
wono, płomienna groźba przechodziła w słodycz
anielską, a z ust jej, wraz z gorącym oddechem
delikatnej kobiecości, wybiegł głuchy szept błaga-
nia. Poczulem w żyłach cały żar mej młodości.
Umysł stał się odrętwiały, niezdolny do myślenia.
Opanowała mnie gorąca żądza młodzieńcza, nad
którą nie czuwała rozważa. Wyciągnąłem ku niej
drżące ramiona. Wymknęła się, nie uciekając. Do-
ścignąłem ją, nie goniąc za nią. Objąłem ją ramie-
niem i słuchałem co mówi; był to szczebiot dzie-
cinny, bojaźliwy, pełny uczucia mistycznego fana-
tyzmu i poddania się, zagłębiłem twarz w jej włosy.
Ale przy tem zetknięciu, zdawało mi się, że usły-
szałem wewnętrzny, duchowy, obronny płacz jej nie-
winności. Wstrząsnął on gwałtownie mym umysłem,
który w jednej chwili odzyskał przytomność. Za-
błysła mi wyraźna myśl: „To dziewczę jest nieświa-
dome niczego!”... Rozpłynęła się we mnie cześć dla
niej i gorzki żal, od którego prysnął mój popęd do
szaleń. Oderwałem się od niej, cofnąłem. Wykrzyk-
nęła:—„Dlaczego?!” i padła twarzą ku ziemi, cała
drżąca. Ach! Co to było? Podniosłem ją z trudem.
Ułożyłem wygodnie na łóżku. Członki miała ze-

sztyniały. Napróżno palce me szukały uderzeń pulsu i skroni. I cóż to stało się tutaj? Pytanie to rozrastało się w coraz większe przerażenie, które wreszcie doszło niemal aż do utraty przytomności. Opadłem na krzesło przy niej. Zatraciłem się w nicości.

Gdy przyszedłem do siebie, już jej nie było...

Uratowała zatem uchodzące życie, jak i swą niewinność.

Jak mi jednak było smutno!... Jak smutno, gdy zdałem sobie sprawę, że musiałem raz na zawsze wyrzec się próby zobaczenia jej raz jeszcze!... Już miałem głośno wymówić jej imię, ale się przemo-głem, wzmocniłem swą wolę ofiary i wyrzekłem się jej ostatecznie, co mi zdawało się heroizmem.

Światełko lam-ki oliwnej konało, a w poświacie wschodzącej jutrzzenki widać było zarysy połupa-nych brzegów drzwi wejściowych.

Mogłem odejść. Musiałem odejść. I nie miałem odwagi. Powinienem był ją mieć jednakże. Zdoby-łem się na nią wreszcie. Przez pamięć przebiegła mi dyskretna prośba starego, by pozostawić obola na znak mej wspaniałomyślności. Wsunąłem w pu-szkę jałmużniczą trochę pieniędzy. I wyszedłem.

Niebo kwitło różami, pożyczkowanemi złotem. Z c enia gór wytryskały uśmiechy szmaragdów. Żywe energie nowego, czystego dnia płynęły harmonijnie w przestwór. Powietrze śpiewało z radości. Ustąpił, zniknął smutek, że nie mogłem raz jeszcze ujrzeć przeczystej, małej, zakochanej dziewczeczki o pierwot-nych instynktach. Przygoda, którą przeżyłem w ta-

kiej męce, przybrała kształty zanikające. Powiedziałem czy pomyślałem: — „Żegnaj, Mannarello!” I już schodziłem z góry przez lasek, wolny, lekki, prawie szybko, prawie radośnie.

Minał rok. Było to w rocznicę owego wdrapania się z przygodami na górę. Mój wuj gościł mnie znów u siebie. Wspominałem często Mannarellę, z melancholją nieco powierzchowną, lecz wolną od ciekawości. Tego dnia melancholja wspomnienia była rzeczywistą i łączyła się z ciekawością, dojmującą, nieustępliwą, męczącą. Tak męczącą, że skłoniła mnie, bym ponownie wspiał się na górę. Obecnie nie były mi już nieznane ścieżki tej góry. To też nie utrudziłem się zbytnio. Z łatwością znalazłem odludny domek Tadeusza Arparo. Zaledwie mnie ujrzał, poznał natychmiast i jakgdyby przeczuł powód mych odwiedzin; bojaźliwy i chwiejący się na nogach, pochylił się zwykłym, pokornym ruchem i wybuchnął płaczem; potem mi powiedział, że Mannarella opuściła go na zawsze, przekładając kącik w niebie nad swą ładną stancijkę. Gdy wrócił z Villareina dnia następnego, znalazł ją nieżywą, z głową roztrzaskaną, u podnóża góry, na której szczycie wisiał zaczepiony o fałdę jej szal.

Samobójstwo! Na pewno samobójstwo!... Trudno zrozumieć to, czego doświadczyłem, gdyż było to zupełnie co innego, niż bywa zwykle w takich wypadkach. Mieszały się we mnie naprzemian litość przeogromna, żal świadomości, że litość ta była zbyt uczuciowa, gryzący protest przeciw niesprawiedliwości losu, wybych uczucia płomiennego i pełnego

dla istoty już nieżyjącej i wyrzuty sumienia. Tak, wyrzuty sumienia... gdyż, ściśle rzecz biorąc, samobójstwo tej nieszczęsnej pierwotnej dziewczyny było, bezwątpienia, mojem dziełem. Jak pan widzi, miałem rację, twierdząc, że krzywda, jaką wyrządziłem jednej kobiecie, chociaż nie wynikała z mojej winy, ale była wyrazem moich skrupułów, przewyższyła w konsekwencji swej wszystkie zbrodnie, których winni są inni mężczyźni.

* * *

Gustaw Arigenti, zamyślony, przejęty do głębi, oparł się na skrzyżowanych łokciach o balustradę, pochylił się i spoglądał na morze, leżące jakby w przepaści, które ciemniało zwolna, gdy poznikały czerwienie zachodu, wraz ze słońcem, które już zgasło. Polak przerwał zamyślenie:

— Bardzo interesująca ta pańska historia. I, wbrew obawom, jakie pan wyrażał, opowiadał pan doskonale. Gdybym był stenografował pańskie słowa, miałbym już gotową nowelę, którą należałoby tylko podpisać. I byłaby to kradzież. Zresztą, postaram się przypomnieć sobie jakoś wszystko, co słyszałem. Możliwość kradzieży nigdy mnie nie nęciła.

— A jaki tytuł da pan naszej noweli?

Tamten, zastanowiwszy się, wyskandował:

— E-go-izml

— O?!

— Ten tytuł—niech mi pan wierzy—jest najodpowiedniejszy. Mężczyzna może wyrządzić krzywdę kobiecie, uwodząc ją lub korzystając z jej słabości,

z jej zabląkania, z jej złudzeń, z jej nieświadomości wreszcie. Ale również może wyrządzić jej krzywdę, odpychając jej miłość, zwłaszcza, gdy miłość, którą odrzuca, jest nieoczekiwanym, szczerym wykwitem dzikiej natury.

UMARŁY WŚRÓD ŻYWYCH

Upłynęło od tamtej pory wiele czasu i dziś nie przypominam już sobie czy grono nasze składało się z pięciu czy też sześciu osób. Zresztą, szczególnie ten nie odgrywa właściwie roli. A ważne jest tylko to, że między temi pięcioma czy sześcioma osobami byłem ja, Wincenty Asaro, i jedna kobieta. Towarzystwo, o którym nie pamiętam z ilu członków się składało, powstało, jak wszystkie te stowarzyszenia w miniaturze, z młodzieńczej potrzeby zwierzeń, przyjaźni i zabawy.

Byłem duszą i wodzem tego stowarzyszenia. Ja to dyrygowałem:

- Dziś wieczór idziemy do teatru!
- Dziś do kawiarni!
- Dzisiaj...

Tu muszę zaznaczyć, że dziewczyna, która towarzyszyła nam do teatru, do kawiarni, wogóle wszędzie, dokądkolwiek szliśmy, była naszą kochanką. Ta kobieta, będąca wspólną własnością, miała tyle imion, ilu kochanków. Raz nazywała się Lucją, raz Julją, Orietta lub Elektra. Właściwe zaś imię

jej było Józefina i tak ją nazywano zawsze, gdy nie... urzędowała.

* * *

Byłem przywódcą towarzystwa i to absolutnym. Nie miałem wprawdzie berła, jako znaku, że mnie wybrano, posiadałem natomiast dary wrodzone, dzięki którym zdobywałem zawsze przewagę nad bliźnimi—siłę, urodę i talent. Siłą pokonywałem przeciwników, uroda dawała mi przewagę wobec kobiet, a talent zrobił mnie literatem. Byłem na drodze do sławy. Każdy dzień znaczył się dla mnie jakimś zwycięstwem; cieszyło mnie to i zdawało mi się, że wkrótce nadejść musi dzień, w którym świat będzie mnie uwielbiał. I jakkolwiek między pojęciem świata a Józefiną zachodziła niejaka różnica, jej uznanie i jej miłość były dla mnie źródłem wielkiej dumy. To też rozporządzałem się i w sprawach miłości:

— Dzisiaj wieczór ze mną, jutro z tobą, a pojutrze znów ze mną...

To despotyczne panowanie nad wszystkimi sprawowałem zapomocą siły pięści, uśmiechów lub pięknych zdań. I muszę wyznać, że despotyzm ten stawał się w mniejszym lub większym stopniu krzywdą, wyrządzaną tym, którzy mi ulegali. Krzywda ta przejawiała się głównie w tem, że każdy, z należących do naszego grona, był wart w mojem pojęciu mniej ode mnie. I tak, naprzykład, jako wartość, przedstawialiśmy: ja—czwórkę, Karol—trójkę, Henryk—dwójkę... Wincenty Asaro—zero. I naturalnie

nad nim, jako nad tym, którego wartość była „zero”, z biegiem czasu, skupiły się objawy mego despotyzmu i przewagi.

* * *

Owego Asaro poznałem dawno i zachowałem o nim do dziś żywe wspomnienie, może dlatego, że zajmuje teraz w mej duszy poczesne miejsce.

Ubierał się zawsze czarno; wysoki, blady, czoło miał niskie, a głos cichy, nieco drżący.

Widywaliśmy go rzadko. Fizycznie był słaby. Nie słyszałem nigdy, by wypowiadał własny sąd o jakiejś sprawie; we wszystkim i zawsze polegał na mnie. Byliśmy kolegami jeszcze ze szkoły przygotowawczej, później zdobył miejsce w jakimś rządowym biurze, ja zaś poszedłem za głosem powołania i zacząłem pisywać w dzienniku, którego nikt nie czytywał. Muszę tu zaznaczyć, à propos tego, że Wincenty był jednym ze znakomitych propagatorów moich dzieł. Mimo to wszystko, nie lubiłem go; miałem zwyczaj staczać walki słowne, to też nie mogłem szanować człowieka, który, bez żadnego usiłowania z mej strony, przyznawał mi zawsze rację. I, wskutek tego, uczyniłem z niego przedmiot mych sarkastycznych uwag, szyderstw i ironji, wiedząc, że zakochał się w paniencie, którą znałem, i zapragnąłem odbić mu ją prosto przez złośliwość. A on, zamiast mię nazwać podłym, nie rzekł ani słowa, nawet, gdy opowiadałem wspólnym przyjaciółom o tym swoim walecznym czynie, rzekł z powagą: — „Dobrze uczyniłeś”.

A już najbardziej okrutną wobec Asaro była Józefina.

Kobiety lubią siłę, a słabość moralna i fizyczna mego kolegi wzbudzała w Józefinie obrzydzenie.

W ten sposób w towarzystwie naszym utworzyły się dwa obozy: jednym był mój dawny szkolny kolega, drugi zaś składał się ze mnie i pozostałych pionków, będących organami wykonawczymi rozkazów wobec mej ofiary.

* * *

Było to w czasie nieobecności Asaro. Uradziłem, wraz z towarzyszymi, że umrę. Miałem zniknąć z oczu na kilka dni, zamknąwszy się w domu. Oni zaś mieli powiedzieć Wincentemu, najpierw, że jestem ciężko chory, a potem, że umarłem. Mieli też zażądać od niego pewnej sumy na kupno wienca; za te pieniądze zaś, które da ten idjota, mieliśmy sobie urządzać ucztę. Wszystko stało się tak, jak uradziliśmy. Wieczorem przyszli do mnie współwino-
wajcy, by mi zdać sprawę, przyczem poleciłem im:

— Tak róbcie, aby tu nie przyszedł do mnie.

Według programu przeto zachorowałem na zaraźliwą chorobę i wkrótce umarłem.

Towarzysze przyszli do mnie i opowiadali o wrażeniu, jakie moja śmierć wywarła na Wincentym:

— Na wiadomość o tem, pogrążył się jakby we śnie. Otrzeźwiliśmy go dopiero, prosząc o pieniądze na wieniec.

— Mam tylko parę groszy przy sobie, przyniosę wam więc przypadającą na mnie sumę.

— Pozostaw ją u odźwiernego w domu naszego biednego przyjaciela — powiedzieliśmy mu. Ale nie wchodź na górę; wstęp tam jest surowo zakazany ze względu na niebezpieczeństwo zarażenia się. Damy ci znać o godzinie pogrzebu.

Osoba wiarogodna, nazywająca się odźwiernym, została wtajemniczona w ten żart i późno wieczorem doręczyła list, który przyniósł chłopiec od Asaro.

Józefina, dotrzymująca mi towarzystwa, przez te dni mej pozornej śmierci, odebrała list z rąk odźwiernego i oddała mi.

Przeczytałem głośno te słowa:

„Droży przyjaciele!

„Ogromnie mi nieprzyjemnie, że nie mogę obecnie doręczyć, przypadającej na mnie, składki na wieniec. Przechodzę znów zwykły kryzys finansowy i absolutnie nie mogę przyjąć na siebie części tego wydatku. Zbytecznym jest też zawiadamianie mnie o godzinie pogrzebu, gdyż nie będę mógł wziąć w nim udziału. Pozdrowienia”.

Gdy skończyłem czytać, spojrzałem, zawiedziony, na Józefinę, siedzącą na ławce, która zdawała się być jeszcze bardziej zawiedziona ode mnie.

— No, i co teraz?

— Co? Nic. Jesteście gromadą głuptasów, nie umiecie nic zrobić. Trzeba było wziąć zaraz pieniądze od tego skąpca. A teraz wszystko się rozwiało. Rzeczywiście, że tylko wtedy coś się uda, jak się zrobi samemu.

— Ależ, drogi mój, przecież nie mogłeś sam przekonywać Asaro o swojej śmierci. Więc?

— Więc żart się nie udał, straciliśmy tylko niepotrzebnie czas.

— Wybacz, że ci zaprzeczę, ale nic się jeszcze nie rozwiało. Przecież jesteś ciągle umarły i Asaro wierzy w to.

— Cóż mam tedy począć z tą swoją śmiercią?

— Możesz, na przykład, być widmem, mszczącym się, które, ukazując się, powie:— „Skąpczel! dlaczego nie zapłaciłeś składki na wieniec dla mnie? Wpłać mi ją teraz natychmiast, inaczej powracać będę co noc, by cię niepokoić!”

Spoglądałem na dziewczynę, która uzupełniała słowa ruchami, a jeszcze bardziej głosem, któryby wywołał przerażenie. Skończywszy mówić, rozpoczęła coś w rodzaju „danse macabre”, poczem zatrzymała się, oczekując aprobaty z mej strony.

— Nie jesteś tak głupia, jak sądziłem. Zrobię to, coś mi poradziła, jakkolwiek niewiele sobie po tem obiecuję. W każdym razie nic innego nie pozostaje do zrobienia.

Józefina, zachwycona tem „nie tak głupia”, pouczała mnie:

— Zaczнеш wyć: — „Skąpcze, dlaczego nie...”

— No, dosyć! Zrozumiałem.

* * *

Nazajutrz, wieczorem, otoczony moimi pomocnikami, wybrałem się do Wincentego Asaro, tego człowieka, który nie brał udziału w moim pogrze-

bie. Polecilem towarzyszącym mi oczekiwać na mnie pod bramą w milczeniu, a ja, jak przystało na widmo, prędko wbiegłem po schodach na górę. Po drodze rozmyślałem: szkoda, że umarli, jak ja, zachowują jeszcze zmysł powonienia, w przeciwnym razie bowiem nie czułbym tej woni miłej, którą pozostawił po sobie kot, wypuszczony właśnie... na przechadzkę. Zadzwoiłem: dzin, dzin... Posłyszałem kroki. Zakryłem płaszczem część twarzy. Wincenty sam ukazał się we drzwiach, trzymając świecę, która kopciała. Nie poznał mnie. Znałem rozkład mieszkania, to też, nie mówiąc ani słowa, szedłem prosto do sypialni. Asaro, zadziwiony i wystraszony, biegł za mną. Gdy podniósł światło w górę, aby lepiej widzieć, tragicznym ruchem odkryłem swe oblicze. Asaro zsiniał; stał w milczeniu, bez tchu, kilka sekund, poczem, zwołna się opanowawszy, rzekł spokojnie:

— Usiądź!

Lecz tu nasunęła mi się wątpliwość czy widma siedzą.

Zdecydowałem się jednakże posłuchać go, wychodząc z zasady: — dlaczego nie miałbym ja, umarły, zachować form, które obowiązują mnie wobec naszej przyjaźni? Siedząc na łóżku, obserwował mnie z wielkim spokojem, wreszcie wyrzekł:

— Oczekiwałem twoich odwiedzin od chwili, gdy się dowiedziałem, żeś umarł. Oczekiwałem z niepokojem i pytałem siebie: — Dlaczego dotychczas nie przyszedł? Dlaczego nie przybywa, by czytać

w mej duszy, jak nigdy nie czytał? Nareszcie jednak przyszedłeś i wcale nie jestem tem zdziwiony. Przyjąłem cię, jakbym przyjął żywego, nawet lepiej. Zachodzi potrzeba wyjaśnienia wielu rzeczy między tobą, umarłym, a mną, żywym. Dobrze, gotów jestem dać ci to należne zadośćuczynienie. Gotów jestem wytłumaczyć ci, dlaczego poskapiłem pieniądze na kwiaty na twoją trumnę i dlaczego nie wziąłem udziału w twoim pogrzebie.

Oto czułem, że nie mogę przedłużać tego ciągłego kłamstwa, że nie potrafię zacieśniać więcej tego łańcucha nieprawdy i uniżoności, którym za życia mnie krępowaleś. Upokarzałeś mnie stale i ciągle zapomocą twej urody, talentu i siły. Zrobiłeś ze mnie hipokrytę, lękającego się twej pięści, niespokojnego wobec twych względów, drżącego przed twym rozumem.

Zabierałeś mi kochankę, pozostawiając dla mnie jej wymyślne szyderstwo. Pięść twoją spadała często na me plecy, a ja musiałem przyjmować z rezygnacją twą brutalność, ironję, zarzuty i twe dzikie żarty. Przypomnij sobie, jak, wraz z twymi przyjaciółmi, zabrałeś mi znaczną część stypendjum, wmawiając we mnie, że się żenisz i że te pieniądze stanowić będą ślubny prezent. Przypomnij sobie, jak mi ukradłeś nawet marzenie o miłości. Przypomnij, jak na jednym zebraniu, gdzie były przeważnie kobiety, odsunąłeś rękaw, aby pokazać me wychudłe, bezsilne ramię. A ileż niesprawiedliwych przykrości musiałem przez ciebie znosić od innych. Józefinie ofiarowywałem więcej podarków,

niż inni, wzamian za co, dzięki tobie, spotykałem się z największą niewdzięcznością. Pamiętam to wszystko i mówię ci, nareszcie teraz jestem wolny przez twą śmierć. Byłem zawsze jakby dziwnie przybity, nie buntowałem się nigdy, aż oto nareszcie śmierć dokonała swego i zerwała łańcuch hipokryzji, jaki nas wiązał. Hipokryzja może istnieć między żywymi, ale nie miałem odwagi łączyć się nią z umarłym.

Oczekiwałem ciebie, jako widma, któreby przyszło, by czytać istotną prawdę w mej duszy, i żyłem nadzieją i zadowoleniem na myśl, że się odrodzę, odnowię, że stanę się znów człowiekiem, co myśli, żyje, kocha.

Gdybyś nie był umarł, nigdybym o tem nie pomyślał, gdyż wyniszczałaś we mnie zwolna każdy żywszy odruch, wykonując swą przewagę, a moją nieskończoną niższość. Nie sądz, że ja sam tylko cieszę się z twego zgonu, bo i nasi towarzysze, a twoi przyjaciele, przyjmą go, jako wyzwolenie. Bo i oni, jakkolwiek mniej, niż ja, jednak byli także twymi niewolnikami.

A teraz odejdz jak najdalej i nie pokazuj się więcej!

Z tych słów jednak poznałem, że Wincenty Asaro kłamał: nie uwalnia się od umarłego, wypędzając go z własnego domu, ponieważ umarli powracają, mimo naszej woli, aby niepokoić myśli i czytać w duszach. Od umarłych nie uwolnimy się nigdy. Przychodzą w dzień lub w nocy, aby nas pocieszyć lub męczyć.

Asaro uwierzył początkowo w mą śmierć, potem jednak, zobaczywszy mię, przejrzał naraz, lecz udawał, że wierzy w mój podstęp, aby wyjawić mi swą niezmierną nienawiść.

Wyszedłem. Uznałem słuszność i prawdę jego słów.

Wydało mi się teraz, że go kochałem, ale okrucieństwem. Schodząc po schodach, powtarzałem sobie: — „Nie sądz, że ja sam tylko cieszę się z twego zgonu...”

I dokończyłem ...także i ci, którzy oczekują tu, myślą tak samo, jak Asaro... Gdybym umarł, a dusza ma poszła do tych, których mam za przyjaciół — wszyscy przyjęliby mnie tak, jak on mię przyjął...

* * *

I wówczas zajaśniało we mnie pragnienie:

Zmienić się.

Waż zmienia się, pozostawiając na drodze skórę. Człowiek, jeśli chce rozpocząć nowe życie, winien opuścić przyjaciół i to, co kochał.

* * *

Przy bramie ci, co oczekiwali mnie, rzucili się ku mnie:

— Opowiadaj!

— Jakże poszło?

— Dał ci pieniądze?

— Przeląkł się?

— Opowiadaj!

— Nie — odrzekłem — odejdzcie!

— Właśnie! taki sam, jak zawsze! — powiedzieli niezadowoleni i zdawali się być dziećmi, którym niesłusznie odmówiono zabawki.

Ogarnęło mnie uczucie dobroci:

— Odejdźcie — powtórzyłem — odejdźcie, jak najdalej ode mnie; ja jestem umarły — a wy żywi. Między nami niema przyjaźni i już więcej być jej nie może. Żegnajcie!..

I pozostawiłem ich, zdumionych, przekonanych, że zwarjowałem.



Ryszard Voss

TARANTELLA CARMELINY

Caprijska legenda o tańcu

Była młoda i wysmukła, a w duszy jej płonęło słońce Capri.

Nazywała się Carmen de Angelis, jednakże wołano na nią ogólnie Carmelina.

Dom rodziny de Angelis stał przy drodze, prowadzącej z pełnego barw miasta Capri ku sławnej na świat całej skale, której szczyt, za czasów wielkich Rzymian, dźwigał na sobie pałac cesarza Tyberjusza, a z którego obecnie, z najpiękniejszej zatoki, z najpiękniejszego wybrzeża na ziemi, pannał lądowi i morzu złoty posąg Królowej Niebios. Przesłodka Matka Zbawiciela, ukrzyżowanego za czasów cesarza Tyberjusza, miała uswięcić miejsca, w których ongiś zamieszkiwały demony; genjusz miejscowy zwał się tedy „Marja”.

Białe ściany domu rodziny de Angelis przeświecały poprzez szarozielone, nieruchome opuncje. Dziwaczne te rośliny otaczały dom, niby wysoki, gęsty las; jednak z poza ich brunatnych łodyg

płoneła gąszcz paląco-czerwonych geranii, a do murów, które zamykały winnice, przytykał ogród, kędy rosły warzywa i kwiaty, laki i lewkonje, rezeda i heljotrop i jasne, przedziwne kwiecie krzewu kaparkowego.

Jedna ze ścian sklepionego budynku była zawalona, a przestrzeń poza nią zamieniono na przewiewną halę, dodając filary i łuki. I tu także płomienne kwiecie zwieszało się po kruszących się balustradach. Gdy Carmelina siadała w „loggi”, oparta o ścianę, przedąc, na wzór swej matki, żółtawy len na starożytnym wrzecionie, patrzyła, poprzez jaśniejący w słońcu łan kwiecista, na błyszczące morze i daleką zatokę, która w oparze dnia letniego, rozciągała się przed nią, jak srebrna kraina z baśni, odziana promieniami zachodzącego słońca, niby szkarlatem, co zwolna przechodził w purpurę, w miarę, jak zapadał zmierzch.

Carmeliną, będąc jeszcze dzieckiem, mogła już godzinami tak wystawać i, nieruchoma, wpatrywać się w lazurową powierzchnię wód i błyszczącą dal. Wabiły ją one ku sobie, wabiły, śpiewając dziecku z syreniej wyspy syrenią pieśń.

Lecz bardziej jeszcze wabiły ją inne dźwięki: chrzęst tamburina. I był to głos, któremu Carmelina, nawet jako mały dzieciak, oprzeć się nie mogła. Bo, gdy tylko na Capri zadźwięczy tamburino, caprijczycy tańczą. Tańczą tarantellę. W „loggiach” i na drogach, prowadzących do winnic, przed domami wieśniaków i na placu Capri, przy starej zegarowej wieży, caprijczycy tańczą namięt-

ny, dziki, szalony taniec miłości neapolitańskiej krainy, w którym lud owych wulkanicznych okolic wytańcowuje gorącą krew swej natury, jakąś część pogaństwa, które przetrwało w nim aż do czasów chrześcijańskich.

Coprawda, o tem wszystkiem nic ludziska nie wiedzieli. Wiedzieli tylko, że żyją, że życie jest rozkoszą i że radość życia upodabnia się do modlitwy, radość życia pod tem promieniejącem niebem, na tych rozkosznych wybrzeżach, w tym wielkim ogrodzie wiecznego kwitnienia i dojrzewania.

Carmelina nie wiedziała nic o samej istocie tego tańca, ani o pieniącej się radości życia. Ale już, jako małe, brunatne stworzonko, tańczyła tarantellę, skoro tylko dobiegł ją dźwiękliwy chrzęst tamburina. Tańczyła samiuteńka jedna. Bo syn sąsiada Carmine Ferrari był to mały głuptasek, stojący zawsze nieruchomo i wpatrujący się uporczywie, acz nieśmiało, w jej małą figurkę, rzucającą główką i ramionami, kręcącą się i kołyszącą coraz bardziej i bardziej dziko...

Były to wówczas jeszcze te dobre, dawne czasy, gdy kobiety i dziewczęta z Capri wspinały się boso starą, wąską ścieżką skalną z wybrzeża ku miastu, otoczonemu winnicami, wspinały się po stromej ścieżce, podobnej do drabiny, ku odległemu, jakby odciętemu od świata, Anacapri. Były to jeszcze te czasy, gdy kobiety i dziewczęta z Capri, zawiązywały ponsowe chustki na brązowych czolach i czarnych włosach, a na głowach nosiły ciężary,

zachowując przytem chód i postawę taką, jakby to, conajmniej, były diademy. A przecież były to kamienie do budowy, ciężkie dzbanki z wodą, były wiązki suchego drzewa oliwnego i gałęzi mirtowych, złocisty janowiec i najróżnaitsze zioła tej wyspy, co jest cała jedną olbrzymią misą upojnych zapachów.

W niedzielę i święta stroił się ten ród niewieści w stare klejnoty ze złota, po babkach, prababkach, w perły i korale, które mężczyźni przywozili żonom i narzeczonym z podróży, odbywanych w zimie, ku wybrzeżom Afryki. Zaś posągi, Madonny i szafę, w której chowano srebrną statuetkę świętego Konstantego, kochanego, wielkiego opiekuna, zdobily płomiennymi kwiatami wyspy. A gdy w święta dość się namodliły i dość uczyniły dla nieba, świętowały wieczory przed domami. W „loggiach” i na drożynach, prowadzących do winnic, zbierała się młodzież z Capri. Młodzieńcy grali na lutni, śpiewali pieśni miłosne, a dziewczęta przysłuchiwały się w skupieniu. Jednak tylko dopóty, póki jedna ze starszych kobiet nie wyniosła z domu tamburina. Na sposób matek i babek wywoływała bachiczne dźwięki, uderzając weń ręką. I to był znak...

Znak do rozpoczęcia tarantelli.

I wtedy „loggie” i winnice stawały się salami balowemi, świat zamieniał się w raj, a życie było rozkoszą i radością.

Coraz bardziej dziko brzmiały uderzenia, coraz bardziej i bardziej dziko wirowały młode postaci. I teraz taniec był już utratą świadomości, rozma-

rzeniem... szalem. Był słonecznym oszołomieniem południa — dla dzieci południa, którym dobrotliwe bogi dały za ojczyznę świątynię cudnej ziemskiej piękności.

A Carmelina była młoda i wysmukła, zaś w duszy jej płonęło upalne słońce Capri.

II

Chociaż oszołomienie słoneczne opanowywało umysły słonecznego ludu, panowała na rozkosznej wyspie wielka skromność obyczajów. Skrycie tylko śledził młodzieniec dziewczynę, mającą zostać żoną i matką jego dzieci, a konkury były zupełnie tajemne, chociaż tak czyste, że nic tam nie było do ukrywania. Młodzież męska na Capri należała do stowarzyszenia, które można było nazwać „związkiem czystych”, nazwą, która gdzie indziej byłaby wyszydzoną, dziewczęta zaś na Capri były „figlie di Maria”.

Te „córki Marji” nosiły wizerunek Królowej Niebios na szyi, na niebieskiej wstążeczce, a na procesjach kroczyły, otulone od stóp do głów jasnoniebieskimi welonami, przez co podobne były do greckich dziewic, odbywających pielgrzymki do świętego przybytku surowej siostrzycy, promienistego boga-Diany, wznoszącego się ongiś na jednym ze skalistych szczytów Capri.

Wszystkim tym, które nosiły jedwabne, niebieskie wstążeczki i owijały się błękitnym muślinem, zakazali księża, władcy Capri, uderzać w tamburino i tańczyć tarantellę.

Mimo surowej obyczajności, którą nałożyły na gorąco-krwistą młodzież starodawne zwyczaje i kar-
ność, zakazali księża zabawy i tańca życia, radości
i miłości...

Jak matki i babki, które były „córkami Marji”,
nakładały na siebie błękitny znak i otulały się
w niebieską mgłę, musiała i wnuczka rodu de An-
gelis stać się córką Błogosławionej między niewia-
stami. A że właśnie Carmelina ukończyła szesnasty
rok życia, zawieszono jej, jak i innym wybranym,
znak Najświętszej Dziewicy na szyi, narzucono na
nią błękitny welon, a odbyło się to z taką cere-
monją, jakgdyby ta młoda, kwitnąca życiem, istota
stać się miała oblubienicą Chrystusa i ukryć się za
świętymi murami klasztoru. W tumie, w którym
odbywała się ceremonja, wystawiono srebrną sta-
tuę świętego Konstantego. Nazajutrz bowiem miano
już obchodzić jego święto—wielkie wiosenne świę-
to kwiecistej wyspy. Nazajutrz miała Carmelina
iść w procesji i odtąd już nie miała więcej tańczyć
tarantelli. Wznosząc swój pastoral biskupi i wycią-
gając błogosławiącą dłoń, stał święty Konstanty
w kaplicy, zasypany dookoła kwiatami, tak, że wi-
dać było wysuwającą się z tej masy kwiecica tylko
górną połowę jego srebrnego ciała, skąpaną w po-
wodzi światła, padającego z olbrzymich świec wo-
skowych i tworzącego nad jego głową promienistą
glorję.

Jakkolwiek kapela miejscowa — w której skład
wchodzili młodzi chłopcy, rzemieślnicy, rybacy i wie-
śniacy — wygrywała swemu ulubionemu świętemu

najweselsze taneczne melodje, twarzyczka Carmeliny była smutna; smagłe policzki, koralowe usteczka i czarne, płonące oczy tworzyły kontrast swym zbyt światowym wyglądem z delikatnym, błękitnym, jak niebo, welonem. Raz po raz zerknęła ku świętemu Konstantemu, błagając go o pomoc. Ma być podobno taki dobry, najlepszy ze wszystkich świętych. Oto została „córka Marji” i, jako taka, nie mogła już tańczyć tarantelli, nie mogła wyginać już młodego, smukłego, giętkiego ciała w tanecznym ruchu, podczas gdy w cudne wieczory i jasne księżycowe noce inne dziewczęta, równie przecież skromne, w „loggjach” i na placykach tańczyły z młodzieńcami, pod chrzęst tamburina, gorący taniec miłości. A między tancerzami był jeden, najmiłszy — Carmine Ferrari, który w tej chwili właśnie wziął fałszywy ton na skrzypcach, bo i on także błagalnie spojrzał młodemi, płomiennemi oczyma. Wprawdzie nie na czcigodne oblicze najdosłajniejszego ze świętych, lecz na piękną twarzyczkę, której było tak ładnie w niebieskiem obramieniu, jak żadnej innej z otaczających dziewcząt, a która, mimo to, była smutna.

— Drogi, święty Konstanty! Jesteś podobno taki dobry. To też chyba nie gniewasz się na mnie za to, że się wcale nie cieszę, iż będę jutro, jako „córka Marji”, szła w orszaku, wiodącym cię nad morze. Co innego, gdyby mi wolno było zatańczyć tarantellę na twą cześć w dzień twego święta. Z tym Carmine Ferrari, który tak fałszywie gra na skrzypcach, że ci chyba twe święte uszy od tego popuchną.

Musiałabym tańczyć z nim, chcąc nie chcąc, bo tarantellę należy tańczyć we dwoje — przecież chyba wiesz o tem. A może nie wiesz? Prawda, że twe święte ciało przyplłynęło tu do nas, na Capri, z za dalekimi mórz, być więc może, że nie wiesz o tem. A więc, słuchaj: tarantellę tańczy się zawsze we dwoje, dziewczyna i... ma się rozumieć, młodzieniec. Żaden chłopiec na Capri, nawet biorąc pod uwagę już i Anacapri, nie tańczy tak dobrze tarantelli, jak Carmine Ferrari. Kochany, dobry, święty Konstanty! Bądź tak strasznie dobry i pozwól mi jutro na twą cześć zatańczyć tarantellę z Carmine Ferrari, chociaż muszę w procesji iść, ubrana w ten głupi welon, i chociaż noszę na piersiach relikwię naszej najśodszej Pani Nieba. A Ona teżby się przecież cieszyła, gdybym z Carmine tańczyła na twą cześć tarantellę. Czego sobie życzysz za udzielenie mi pozwolenia? Srebrnego serca? Mówię ci jednak odrazu, że może to być tylko zupełnie małe serduszko; bo, żeby i takie zdobyć, muszę sobie w tajemnicy przed matką uprząć trochę z jej lnu, aby, sprzedawszy go, móc ci je kupić. Jeśli jednak ofiaruję ci to serce, chyba na pewno wówczas grzech tańczenia mi przebaczysz... Bądź więc łaskawy dla mnie, o dobry, święty Konstanty! — przyjmij serce, a zato pozwól mi jutro tańczyć z Carmine tarantellę. A wtedy przekonasz się naocznie, że tarantellę należy tańczyć we dwoje.

Taką modlitwę słała Carmelina z głębi swej duszy, onieśmiałonej uroczystością, do świętego patrona Capri. Za cóż byłby opiekunem najpiękniej-

szej wyspy świata, gdyby nie udzielił w biedzie pomocy i poparcia córom tej wyspy, należącym do dzieci ziemi, co najbardziej cieszą się życiem, a zarazem są najskromniejsze?

A było to istotnie zmartwienie, nie móc tańczyć tarantelli dlatego, że ma się zawieszoną na szyi niebieską wstążkę, a na głowie nosi się błękitny welon.

Nawet przecież w kościele wygrywano najskoczniejsze melodje, rzępolono, trąbiono; jakżeż wobec tego mogły stać spokojnie młode nogi, nie podrygując chęciom tańca, i jak mogły młode serca nie uderzać, podniecane tęsknotą za radością życia? W dodatku i Carmine spoglądał raz po raz w stronę Carmeliny, jakby z wyrzutem: — „A więc nie chcesz już ze mną tańczyć tarantelli? Pomyśl tylko: tarantelli! Och, ty! Ty niewierna. Ty zdrajczyni, ty! Niechże Najśłodsza Matka Zbawiciela przebaczy ci ten grzech“.

Więc umęczona dusza Carmeliny nie przestawała w gorących modlitwach błagać o pomoc dobrego, świętego Konstantego.

III

Caprijczycy obchodzili dzień świętego Konstantego nadzwyczaj uroczystie. Całe trzy dni, od pierwszego świtu aż poza północ, trwało pobożne świętowanie. Pukanie i strzelanie, dźwięczenie i huczenie rozlegało się bezustannie, jakgdyby Francuzi i Anglicy oblegali Capri, jak za starych,

dobrych czasów, a Caprijczycy musieli bronić uko-
chanej wyspy, aż do ostatniego mężczyzny. Echo
strzałów, danych na górze San-Michele, odbijało
się o skaliste ściany Monte Solaro dziesięciokrotnie,
zaś wystrzały armatnie towarzyszyły, wzdłuż całej
drogi, procesji, poruszającej się wśród bicia w dzwo-
ny, śpiewu i szmeru modlitw, tak, że poczciwy
święty mógł ogluchnąć i oslepnąć od tego piekiel-
nego hałasu; długi orszak kroczył w obłoku kurza-
wy, niby jakiś pochód olimpijskich bogów.

Procesja zeszła szerokimi schodami, prowadzą-
cemi wdół, minęła mały placyk około szarej wie-
ży zegarowej, skierowała się przez spadziste schodki
i spadzistą wąską drogę między murami ku przy-
stani. Przechodziła mimo ogrodów pomarańczo-
wych i cytrynowych, podobnych hesperyjskim
gajom, świecących złotem owoców, połyskujących
blaskiem kwiecia. A przed srebrnym posążkiem
ulubionego świętego kroczyły „córki Marji”, same
młode, smukłe postacie, same młode, opalone twa-
rze, z oczyma i ustami, jakie musiały mieć syreny
na syreniej wysepie, wabiące i usidlające mężczyzn,
płynących morzem. Orszak poruszał się, niby jasno-
błękitny obłok w lazurowym powietrzu, obok la-
zurowego morza, poprzez gaje, obok płotów z ge-
ranij płonących czerwienią. Z dachów i „loggi” do-
mów, położonych przy drodze, kobiety i dzieci sy-
pały płatki różane na orszak „błękitnych”. Leciały te
płatki, jakby deszcz, którego różane krople zawisły
na głowach i ramionach idących, czepiały się we-

lonów, padały pod stopy, że zdawały się kroczyć w powodzi róż. Jeśli to nie sprawiło świętemu Konstantemu niebiańskiej radości, to już nawet i w niebie nie było dla biedaka żadnych uciech.

Dzwoniły dzwony, bito z moździerzy i strz lano z armat, a muzyka grała skoczne melodje, nic innego, prócz skocznych melodyj. Wprost dziwnem się zdawało, że święty Konstanty sam z sobą nie uczył cudu, że nie przyprawił sobie nóg, nie zeskoczył z tronu i nie począł tańczyć pod baldachimem i to, naturalnie... tarantellę. I z żadną inną tancerką, lecz z Carmeliną, choćby nawet Carmine jeszcze bardziej był zazdrosny. Ale święty Konstanty był ze srebra, nieruchomy i sztywny, a Carmelina musiała kroczyć w procesji wolno, wo niuteńko, z opuszczoną nisko główką, bez jednej pobożnej myśli w sercu. Czyż święty Konstanty zupełnie zapomniał o tem, że obiecała mu serce ze srebra, jeśli... Tak, jeśli... Na dodatek otrzyma jeszcze świecę. Jeśli teraz jej nie wysłucha, to na świecie już nawet na świętego liczyć nie można...

A jednak święty Konstanty nie pomógł jej.

Zapewne, że za karę, za niewysłuchanie jej, nie dostanie srebrnego serduszka, ani pięknej, grubej świecy woskowej. Niech ma za swoje, za to, że nie dopomógł jednej młodej istocie w jej wielkiej potrzebie — chyba niema większej na świecie, jak z miłym tańczyć tarantellę. Tak, a właściwie największą troską młodego, żywo bijącego, dziewczęcego serduszka było to, że miły tańczył tarantellę... z inną. Zdrajca! niewierny!

Z małą, tłustą, czerwonowłosą Mariettą Mariani tańczył Carmine... Bo była tłustą tą czarownicą o czerwonych włosach. Zaczarowała Carmine małą, tłustą Mariettą; właściwie nie była to żadna mała, zgrabna Marietta... ale wielka, gruba Marinci. I tylko taką korzyść miał Carmine z tego, że święty Konstanty nie chciał pomóc Carmelinie.

Cóż więc należało jej uczynić?

Jeśli nie pomoże sługa, idzie się wprost do pana.

Skoro święty Konstanty nawet za srebrne serduszko i świecę woskową nie chciał spełnić tego, co spełnić było jego świętym obowiązkiem, powinnością i niczem więcej, uciśniona zwróciła się do Bogarodzicy. Przecież Carmelina była „córka Marji”; niechże więc Matka pomoże córce. A wówczas Ona dostanie srebrne serduszko i świecę woskową, a święty Konstanty będzie musiał przyglądać się temu zdaleka. Dobrze mu tak będzie.

Wniebowzięcie Matki Boskiej było świętem, w czasie którego niesiono przed tron Marji wszystkie bóle, a Ona nawzajem zlewała na wiernych swe łaski. Posąg Jej stał w jednej z grot Monte Solaro, do której prowadziła wąska spadzista ścieżka, podobna do jakiejś olbrzymiej podniebnej drabiny. Matka Boska ubrana była w białą, gwiazdami nabijaną, suknię, a na nią narzucony miała jasnoniebieski płaszcz. Grota, do której dostęp był bardzo trudny, podobna była w święta Matki Boskiej do płonącej jaskini, do której znoszono z całej Capri wszelkie kwiaty,

nie spopielone jeszcze żarem słońca, i sypano wokół posągu, tak, że wszystko kwiecie lata zdawało się cisnąć do stóp Marji.

Na syreniej wyspie panował prastary zwyczaj, że w dzień Wniebowzięcia ofiarowywano Madonie z Monte Solaro najróżnorodniejsze podarunki. Każdy dawał to, co miał najlepszego. Wieśniak przynosił owoce ogrodu i pól, rybak — olbrzymią ragustę, a nawet jakiegoś nadzwyczajnie wielkiego i nadzwyczajnie wstrętnego polipa, gospodynie ofiarowały jaja, kury lub najdelikatniejsze płótno, dziewczęta — własnoręcznie utkane pstre wstążki. I każdy składał swój dar u stóp Niebiańskiej Pani, tak, że święta grota zamieniała się w kram, w którym zaspokoić można było każdą potrzebę życiową za gotówkę lub na kredyt.

I znów od pierwszego świtu rozlegały się hałas i strzały, znów dzwonienie poszczególnych dzwonów, śpiew i szmer modlitw, znów wesola a skoczna muzyka, znów niesiono różne świętości, szli księża, pobożne stowarzyszenia i „córki Marji”. Gdy procesja minęła już winnice i cytrynowe gaje, rozpoczęła się bardzo uciążliwa droga wzwyż, po spadzistości, gdzie jeden nieostrożny krok powodował upadek w przepaść i śmierć. Ponad połyskującym błękitem morza, popod rozpalonem do białości, bezchmurnem, letniem niebem wspinał się jasnoniebieski orszak po prostopadłych skalistych ścianach. Zdawał się wlatywać ku górze, jakgdyby te wszystkie postacie, wraz ze swą Królową, miały być dzisiaj wzięte do nieba.

Procesja dotarła szczęśliwie na miejsce. Ustawiła się u podnóża grotty, na baszcie, wymurowanej na skałach i przyciśniętej do nich. Muzyka wygrywała Madonnie najskoczniejsze melodje; księża z całych sił poruszali trybularze, lud modlił się, prosił o łaski, śpiewał. I tylko nie tańczono przed świętym wizerunkiem.

Carmelina, stojąc między towarzyszkami, jak i ona, w niebieskie welony ubranemi, spoglądała ku Najświętszej Pannie z gorącym pragnieniem, pokornem błaganiem, najczystszą miłością, niewzruszoną wiarą — i z lekkim wyrzutem w spojrzeniu: — „O, zechciej mi dopomóc! Wprawdzie nic ci dzisiaj nie przynoszę, bo serce i świecę dam ci dopiero wówczas, gdy mi okażesz swą łaskę, o Umiłowana — Niedobra — Ty Dobra, zagniewana, — Ty Najlepsza, Najsłodsza, Najświętsza, o, Matko moja Marjo!”

I zdało się naraz Carmelinie, że z głębi grotty, z morza blasku, z masy kwiecica zabrzmiał ku niej głos, wobec słodkiego dźwięku którego, najpiękniejsza muzyka brzmiała fałszywie. Głos ten mówił jej: — „No, zatańcz wreszcie, ty mała, głupiutka, ty serdeczna, niemądra Carmelino! Zatańcz wreszcie cokolwiek twej ukochanej Matce! Zatańcz tarantellę! A jeśli tarantellę trzeba istotnie tańczyć koniecznie we dwoje — ja, niestety, muszę stać tutaj nieruchomo i cierpliwie pozwalać na okazywanie mi czci, a zresztą nie rozumiem się zupełnie na wszystkich tych ziemskich rzeczach... Ale tam, poza tobą, gra na skrzypcach Carmine... Niechże więc w mojem świętem Imieniu, Carmine zatańczy z tobą.

Niech dziś tańczy z tobą, a jutro niech zostanie twym narzeczonym. Bo, skoro zatańczysz z nim na mą cześć tarantellę, to przypadnie już twa godność „córki Marji”. Ale to nic nie szkodzi. A więc mała, głupiutka, serdeczna Carmelino, tańcz, tańczże już! Wolę szczęśliwą narzeczoną, niż smutną „córkę Marji”, zaś w białym welonie oblubienicy bardziej jest do twarzy dziewczycy, niż w niebieskim welonie „córki Marji”. No, ale dosyć już mówiłam! teraz tańcz, tańcz, by się nareszcie twa duszyczka uspokoić mogła”.

No i stało się... To niesłychane, to niemożliwe stało się i Carmelina w niebieskim welonie zaczęła tańczyć przed Madonną z Monte Solaro. Najpierw samiuteńka jedna, a potem... potem tańczył z Carmeliną Carmine i, podobno, nigdy już potem, ani przedtem, na Capri tak piękna i tak zakochana para nie tańczyła namiętniej szalonej tarantelli — żarnego tańca miłości południowej, tańca południowego życia.

Para ta tańczyła tak przepięknie, że nawet duchowieństwo, początkowo skamieniałe z oburzenia, przyglądało się tańcowi obojga z upodobaniem. Do dzisiaj jeszcze trafiają się na Capri bardzo starzy ludzie, którzy słyszeli prababki, opowiadające o tem, że Madonna z Monte Solaro uśmiechała się wówczas do obojga grzeszników, pełna niebiańskiej dobroci. Na drugi dzień uroczyste uznano Carmelinę za niegodną noszenia niebieskiego welonu i medalika z wizerunkiem Marji. Musiała się poddać ciężkiej pokucie kościelnej, musiała — także za po-

kutę—wyjść zamaż za Carmine. Stała się na Capri bezsprzecznie królową wszystkich, co tańczyły tarantellę, a jej dzieci i dzieci tych dzieci do dzisiejszego dnia tańczą tarantellę, na drodze do willi Jupitera, cesarza Tyberjusza, przed obcymi, którzy całymi gromadami przeciągają tamtędy. Tylko, że nie znajdzie się między nimi ani druga taka Carmelina, ani też Carmine; rzecz to wielce smutna, lecz, niestety, prawdziwa; z tem zgadzają się nawet najstarsi ludzie na Capri.





Marino Moretti

PIEGŻA-CZARNOGŁÓWKA

Dziewczynka miała lat dziesięć, gdy ją oddano na naukę do klasztoru, jako pensjonarkę; powiedziano jej żartem, że tego dnia, w którym rodzice przywieźli ją do klasztoru, dzwony zadzwoniły same, zupełnie tak, jak wówczas, gdy wstępowała do tego samego klasztoru świątobliwa Marja Diomira, której papież udzielił błogosławieństwa. Po upływie wieku lub półtora wieku czyż nie mógłby jakiś inny papież przyzwolić, aby i tę dziewczynkę ubłogosławiono.

W rzeczywistości wybrano raczej klasztor, niż kolegjum, gdyż tu była ciotka dziewczynki ze strony matki, pracowita i wytrwała siostra Leonja, wybrana po raz trzeci matką wikariuszką, to znaczy podprzełożoną i równocześnie więcej, niż przełożoną. Ciotka, siostra Leonja, poza obowiązkami matki wikariuszki umiała być dla siostrzenicy matką.

W ten sposób dziewczynka, dopóki się uczyła, wcale nie opuszczała klasztoru.

Przybywali do niej rodzice w odwiedziny, ona

zaś przyjmowała ich radośnie, wysuwając ku nim usta poprzez kratę rozmównicy, ale nie okazywała chęci, by ich nawzajem odwiedzić. „Wyjść z klasztoru” — znaczyło dla niej iść na przechadzkę do ogrodu.

Siedząc poza kratą, między matką przełożoną a matką ochmistrzynią, dziewczeczka, blada i nieświadoma niczego, co nie dotyczyło klasztoru, uśmiechała się do rodziców, prawie nic nie mówiąc i nie wywnętrzając się przed nimi. Rodzice siedzieli po drugiej stronie kraty; kratka ta, w formie dużego gotyckiego okna, rozdzielała rozmównicę na dwie połowy; w kracie tej były drzwiczki, które otwierały się tylko w razie potrzeby. Rodzice uprzejmie zabawiali rozmową dobre siostry — dziewczeczki świętobliwości Diomiry, aż wkońcu przełożona polecała uczennicy, by podała drogim rodzicom likier; ażeby nim można było poczęstować gości, należało wstawić butelkę i kieliszki w przedziałkę kołowrótka umieszczonego również w kracie, przedzielającej rozmównicę, i odpowiednio go obrócić.

Przełożona wznosiła rękę, jakby błogosławiając, w istocie jednak było to pożegnanie. Dziewczynka odchodziła, ciotka, siostra Leonja, uśmiechała się, pochyliwszy nieco głowę, i zamykała drzwi rozmównicy. I to były odwiedziny przyjęte i oddane. Niepodobieństwem byłoby niezadowolnić się tym doskonałym likierem i tym pocałunkiem.

Mijały lata — wykształcenie można było nazwać oddawna ukończonym, a jednak pensjonarka nie decydowała się zostać dorosłą panną, jakgdyby

miała poczucie swej prostoduszności lub bała się ostrego światła z zewnątrz, jakgdyby była krótkowzroczną. Przytem była tak dumna, że przybrała imię Modesty, co znaczy skromna — skromna z imienia i w rzeczywistości — i, nie bez słuszności, przypuszczała, że z takim imieniem nie można przejść przez życie. Wybrała klasztor z powołania, ale także i przez lenistwo; mając dwadzieścia, trzydzieści i czterdzieści lat, żyć tak samo, jak wówczas, gdy miała lat dziesięć, musiało być wiele prościej i łatwiej, a potem anioł zaprowadzi ją z tego zacisza, bez żadnych wstrząśnień, wprost do nieba.

Sprawę tę przedstawiła rodzicom z poza kraty ciotka Leonja; matka siedziała niema i milcząca. Modesta przytakiwała. Nie składając sobie na całkowalenie, wyznała jednak, że życie świątobliwej Matki Diomiry w istocie jej najlepiej odpowiada. Umilkła, gdy ciotka poczęła mówić o interesie, zwracając się do ojca: to znaczy o posagu. Gdyż także i Jezus, jako oblubieniec, ma swe wymagania, a siostra Leonja wzięła na siebie rolę świekry. Wskutek drobiazgowej dokładności klauzury, ciotka wszczęła te układy, nie jako ciotka, lecz jako Wikarjuszka. Robiła przytem minę uprzejmą, jakby chciała powiedzieć: — „O mój Boże, nasza klauzura jest tylko biskupią i pozwala mi na omawianie tej sprawy, mimo, że jestem krewną przyszłej nowicjuszki... Klauzura papieska jest o wiele surowsza”.

Ustalono, że pensjonarka powróci jeszcze do ro-

dziny przed nowicjatem, aby się trochę rozerwać, jak owa słynna zakonnica z Monzy*).

* * *

Modesta opuściła klasztor podobnie, jak niewinnie skazany opuszcza więzienie, w którym odcierpiał długie lata kary: ona również nie wychodziła z klasztoru taką, jaką była w istocie, lecz jaką inni ją uczynili, wskutek czego brakło jej wskazówek, regulujących drobne tymczasowe sprawy.

Przypomniała sobie doskonale, że pokoiik, do którego teraz wróciła, opuściła, mając lat dziesięć. Dzisiaj miała drugie tyle. Dwadzieścia lat. A że matka zapomniała pozawieszać na ścianach nowe obrazy, zapomniała także usunąć lustra, przeto owe dwadzieścia lat mogły teraz spoglądać w zwierciadło i wstydzic się tego podwójnie; wstydzic się, że jest ich już dwadzieścia, by się przekonać czy jest piękna. Zresztą przecież nie była to cela, lecz świecki pokoiik, jakkolwiek niewątpliwie pokoiik dziewiczy.

Pobyt jej w domu dał powód do uroczystości, utrzymanych w tonie spokojnym, aby nie przeszkadzać jej zbytnią i nierozumną radością. Jedyne żona brata, która weszła w dom od roku, z zamiarem gorszenia tej rodziny bigotów, okazała trochę ironji, dając przyszłej nowicjuszcze prezent, którym była butelecarka perfum.

— Umiesz po francusku? — zapytała, wskazując

*) Jedna z bohatererek bardzo znanej włoskiej powieści „I promessi Sposi” Manzonięgo. (Przyp. tłum.)

kwiecistą etykietkę i zachęcając do przeczytania napisu.

Modesta nie mogła przeczytać, bo nie umiała po francusku.

— Oho! Ale przecież we wszystkich klasztorach jest zakonnica, która udziela lekcji języka francuskiego, malarstwa i muzyki—trzech nierozłącznych rzeczy. Czytaj ze mną, Modesto: „Parlez... lui... de moi“... co to znaczy? Znaczy: „Mówcie mu o mnie“... Mu? Komu? Co to za on? Ależ ten, kogo się pragnie, moja droga, którego pożądasz. Pomyśl o kimkolwiek, ale żeby to był mężczyzna i...

Modesta zaczerwieniła się, ale przyjęła butelczkę perfum „Parlez lui de moi“, może przez bojaźliwość i trzymała ją mocno w dłoni, jakby w trwodze, żeby jej nie odebrano.

— Czy wiesz, że ładniejesz? Załóż się, że spodobałabyś każdemu, gdyby cię ujrzał, choć przez dziurkę od klucza. Mężczyźni odwykli dziś od panienek, co się rumienia... Ależ nie, nie. O czym ja mówię?

Rzeczywiście, o czym mówiła? Nie był to przecież rodzaj rozmowy, jaką należy prowadzić z przyszłą nowicjuską, Helena przyznawała to, ale przyznawała także, że w istocie każda jej rozmowa była podobna. Poprostu nie umiała mówić inaczej. Z pomiędzy wszystkich powieści moralnych, które czytała i o których uczyła się w szkole, tyle lat temu, utkwiała jej na zawsze w pamięci jedynie ta scena z „Narzeczonych“^{*)}, gdzie zakonnica, jedna

*) Manzoni „I promiessi Sposi“. (Przyp. tłum.)

z bohaterek powieści, schodzi nadół po schodach, aż do drzwi, i zatrzymuje się przed niemi; to też o wszystkich zakonnicach miała tylko takie pojęcie, jakie wyrobiła sobie na podstawie tej książki. Pamiętała, że ta mniszka wróciła do świata na pewien przeciąg czasu, aby się zabawić, zanim pogrzebała się na zawsze; chciała nacieszyć się strzępkiem życia, jakby kawałkiem tortu, zanim je pożegna na zawsze. Mniszka ta przybrała teraz niespodzianie w jej wyobraźni twarz małej prostodusznej Modesty. To też wydawało się Helenie rzeczą zupełnie naturalną, a nawet słuszną, wystawić ją na próbę.

— Można — spytała Helena, wchodząc do pokoju Modesty — pozwolił, że ci kilka rad udzielę? Najpierw muszę cię uczesać. Widzisz? Włosy ułożyłam trochę puszyściej; tak ci ładniej — — — Przyrzeknij mi, że będziesz dziś wieczorem u Fazzych, aby posłuchać nowego fox-trotta — — — O Boże! przecież idzie tylko o to, by siedzieć koło gramofonu... A jutro wieczór do teatru; nie byłaś nigdy w teatrze? No, na jakąś niewinną komedijkę albo „Traviattę“, albo na operetkę; nie zaprowadzilibyśmy cię przecież nigdy do kabaretu, gdzie, jak opowiadają, różni młodziki wygwizdują biedną śpiewaczkę za to niby, że ma kochanka...

Modesta uśmiechnęła się lekliwie i nieufnie.

— Nie przybyłam tutaj, aby poznawać świat — wyjąkała i odpychała Helenę ruchem ręki, jakby chciała odpędzić od siebie nieznośną muchę.

— Jednakże, dziecko, co warte jest twoje wyrzeczenie się, jeśli nie wiesz czego się wyrzekasz?

— Czego? Próżności.

— Próżności, to wyrażenie ogólne, ukute w klasztorze na wasz użytek i spożywane, jak likier i alkiermas. Doprawdy, są rzeczy lepsze: fox-trott... jedwabne pończochy... jedwabna bielizna... wy zaś obowiązane jesteście nosić habit wełniany, spać na grubem szorstkiem prześcieradle, tkanem własnoręcznie...

— Siedzieć przy stole bez obrusa — poddała Modesta, spuszczać oczy.

— Zdaje mi się także, że jesteście obowiązane nie myć się za często. Mydło nie jest dozwolone.

— Otręby... poddała znów tamta jeszcze lękliej.

— Otręby? myjecie ręce otrębami?

— Gdy zostanę zakonnicą, tak...— i spojrzała na swe ręce białe, bielusieńkie. — Potem te używane otręby daje się kurom...

— Daje się kurom? O! O! To niezgodne z higieną i zdrowym rozsądkiem.

Dziewczyna, choć zdawała się uprzejma i uległa, była uparta, uparta, właśnie, jak zakonnica. Nie można było namówić ją na przechadzkę, do teatru, do kinematografu, na wizytę, ani też zapoznać ją z tak niebezpiecznymi przedmiotami, jak stereoskop i gramofon. Wszystko było dla niej nowe, ale nie miało powabu. Próżna chęci widzenia cegokolwiek, próżna zaciekawienia i wrażliwości, nie chciała o nic pytać, o niczem wiedzieć i nie dziwiła się niczemu. Zdawało się jej zupełnie na-

turalnem, że jeszcze jakiś czas będzie miała na sobie cienką bieliznę i że jeszcze jakiś czas używa mydła; potem ubierze się w habit wełniany, będzie sypiała na szorstkiem prześcieradle i używała otrąb, wbrew higjennie i zdrowemu rozsądkowi.

Mędrkująca bratowa przestała się nią wkrótce zajmować, tem bardziej, że gdy patrzyła na nią, już nie interesowało ją zagadnienie: „Jaki mam w tem interes, aby ją ocalić”. Otwarcie mówiąc, pierwotnie miała jedynie interes, aby wydobyć ją z mroku, uświadomić o życiu i przyrzekła sobie, że nie zwróci do niej ani słowa więcej, aby uniknąć pokusy do szyderstw z obyczajów klasztornych i z samej siostry Leonji, która popełniła występki, że po dziesięciu latach rozmyślań namówiła Modestę do tej mogiły. Ale pewnego dnia Helena wbiegła niespodzianie szybko do pokoju przyszłej nowicjuszki; zastała ją pogrążoną w modlitwie i, płacząc, rzuciła się jej na szyję. Ścisnęła, całowała ją bez upamiętania, szarpała na wszystkie strony to biedne, bezradne stworzenie, jakim była Modesta, nie umiejąc wyrazić swej radości czy smutku; właściwie nie wiedziała sama dlaczego miałaby o radości czy smutku opowiadać właśnie tej gąsce, niezdolnej ani odczuć tej radości, ani jej rozumieć: niedawna pensjonarka, przyszła zakonnica, mara bezduszna.

— Nic ci nie mówiliśmy, że brat twój i ja pragnęliśmy dziecka, a dziecko — czy ty to rozumiesz? — nie zjawilo się... Także i matka twa pragnęła

zostać babką i modliła się ciągle... Nic i nic. Nardaremna była modlitwa. Zamiast...

Oderwała się od niej, aby obetrzeć oczy i pokazać jak jest dumna. I zniżyła głos, oparłszy się teraz zaledwie lekko na ramieniu Modesty, która położyła w miejsce bezpieczne, na pobliską kromódkę, ulubiony modlitewnik, pełen świętych obrazków i modlitw, ręcznie przepisanych. Obawiała się bowiem naprawdę, że, przy tych czułościach Heleny, święci rozsypią się po ziemi.

— Nikomu jeszcze o tem nie mówiłam, nawet niężowi... Tobie pierwszej mówię: jestem w poważnym stanie!

I Helena śmiała się, śmiała i nie wiedziała dlaczego wybrała taką powiernicę, dlaczego mówiła do tej, która nigdy nie będzie miała dziecka: — „Jestem brzemienna!” — jakgdyby to dziecko zawdzięczała zakonnicom, jakgdyby przyszła siostra Modesta przyniosła to dziecko z klasztoru, w igielniku.

* * *

We wrześniu cała rodzina przeniosła się na wieś do San Albano, z czego Modesta była zadowolona. Pozostawały jej jeszcze dwa lub trzy tygodnie „świata”; miała wrażenie, że „świat” na wsi będzie podobny do klasztoru, ze swą ciszą leśną, gdzie drzewa zastępować będą ludzie, a ptaszki — fox-trotta. Zdawało się, że bardzo w porę i roztropnie jutrzejsza siostra Modesta uchyliła się od pokus miejskich i przeniosła się, nietknięta, z miasta na wieś; nietknięta powróci ze wsi do

klasztoru, pozostawiwszy poza sobą nienapoczętą buteleczkę perfum „Parlez lui de moi”. Nie miała się czego obawiać na wsi, tam nie grozi jej niebezpieczeństwo; wiedziała, że w San Albano będzie mogła częściej wychodzić ze swego pokoiku i odmawiać modlitwy lub czytać „Naśladowanie” i życie świętobliwej Matki Diomiry, na skrajach łąk, nad brzegami strumyków lub w samym sercu lasu, jeśli już nie kędyś wewnątrz drzewa.

Nowa, niczem nie ozdobiona izdebka, podobała jej się bardzo. Nie brakowało tu kropielniczki na święconą wodę w kształcie białoniebieskiego aniołka z majoliki, który, w swym locie na ścianie, unosił naczynko. Dzięki temu drogiemu cacku, cały pokoić przybrał wygląd klasztorny. Właściwie, można powiedzieć, że ta dziewczeczka urodziła się poto, aby wstąpić do klasztoru; oddać ją mężczyźnie, mężczyźnie dzisiejszemu, znaczyłoby tyleż, co pozwolić ordynarnej dłoni zerwać kwiat i rozszarpać go, gdyż są ludzie, lubiący zabijać kwiaty, jak również szarpać jedwab i plamić kryształ.

Jednakże i w willi na wsi też był „świat”. Eleganckie zwyczaje, pobliskie wille, przyjaciele, psy, krewni — te i tym podobne rzeczy była to wille-gjatura wrześniowa, a nie same tylko strumyki i ptaszki. Modesta spostrzegła z drżeniem, że na wsi będzie jej o wiele trudniej uniknąć ciekawości przyjaciół i rodziny. Już nawet poznała młodzieńca.

— Maurycy, wiesz, Modestino, jest to dyskretny, młody człowiek, napółkrewny, laureat, wielki pan. Każdej niedzieli jest na mszy, aby dać dobry przy-

kład na wsi. W mieście, ma się rozumieć, to rzecz inna...

Nie podała mu ręki, zaledwie odpowiadała „tak” i „nie” i wkrótce opuściła towarzystwo, przeprosiwszy zebranych. Maurycy mieszkał w pobliskiej willi, której widać było jedynie wierzchołek, kryty czerwoną dachówką; szczyił się serdeczną zażyłością z Heleną, która tymczasem szła wyprawkę dla noworodka. Ten noworodek interesował go znacznie więcej, niż ta głuptaska, która w klasztorze nie będzie szła powijaków i śliniaczków.

Dawał do zrozumienia, że w ten sposób protestuje wobec rodziców-bigotów, co godzili się na poświęcenie własnej córki, mając na usprawiedliwienie jej pobożność, gdy on miał na usprawiedliwienie protestu swe półpokrewieństwo.

— Nie usiłuj rozmawiać z nią — mówiła mu Helena w zaufaniu. — Trzeba ją zostawić w spokoju. Każdy wie, czego warta jest Modestina i każdy wie naprzód, co może powiedzieć: że będzie jadła zupełnie łyżką drewnianą, spoglądając na gołe ściany refektarza, że w klasztorze jest wikt jednostajny, nigdy się nie zmieniający, że chleb wydziela się tam na uncje, że ręcznik do wspólnego użytku ma więcej, niż dwa metry i wisi na gwoździu, że dzieci się karze tam, nakazując im klęczeć trzy godziny, gdy odmawia się modlitwy z „westchnieniem gołębicy” i że chórzystki i konwerski co trzy lata biorą udział w wyborze przełożonej, lecz same nie mogą być nigdy wybrane. Jak ci się to podoba?

— Jak powiedziałaś? Chórzystki?

— Tak, chórzystki, ale nie z operetki, Maurycy.

Ukazywał się, ubrany najczęściej po myśliwsku, w aksamitnej kurtce, z dubeltówką, przewieszoną przez ramię, w towarzystwie dwóch skomlących ogarów. Tak pewnego dnia spotkała go Modestina i, o dziwo! nie uciekła. Zamiast uciec, jak początkowo zamierzała, opuściła głowę, aby uniknąć pozdrowienia, nie mogła jednak uniknąć tego, że jeden z psów zbliżył się do niej i zaczął ją obwąchiwać; młodzieniec ze śmiechem go odwołał.

Natomiast, innym razem, sam myśliwy zbliżył się do niej, by ją obwąchać. Śmiało, zuchwale, nie zaciekawiała go bowiem wcale, piękny młodzian pozdrowił ją szorstkiem:— „Dzieńdobry!” i usiadł obok niej na trawie. Modestynie wypadły z rąk na kolana „Wieczne maksymy”; wysunęła się z nich głowa świątobliwej Matki Diomiry, która służyła jej, jako zakładka.

— Proszę mi nieco objaśnić sprawę klasztorne. Sześć miesięcy nowicjatu, trzy lata zwyczajnych ślubów, a potem?... Mój Boże! i dlaczego? Boi się pani? Czego? Mnie? Strzelby? Jesteśmy napółkrewni...

Zdziwiona, podniosła oczy. „Pani”... Pierwszy raz w ten sposób odezwano się do niej; nigdy nie była „panią”, była nią dopiero po raz pierwszy w tej chwili.

— Proszę mi przynajmniej powiedzieć, co to jest to „westchnienie gołębic”? Jak się to robi?

Dziewczyna uśmiechnęła się. Odważyła się pod-

nieść powieki i spojrzała na młodzieńca niemal ze słodyczą, lecz nic nie odrzekła.

— A więc, proszę powiedzieć, w którym roku żyła świątobliwa Matka Diomira? W tasiąc ośmset...

— To Helena — zaryzykowała dziewczyna, prawie słodko — Helena mówiła panu o mnie i o klasztorze. Sześć miesięcy nowicjatu — ciągnęła z prostotą — w czasie których zatrzymujemy świeckie ubranie i mieszkamy oddzielnie od sióstr. Potem ubieramy się w habit, ale sznur, jakim się opasujemy, ma tylko jeden węzeł. Potem trzy lata ślubów zwykłych. Potem...

— Rozumiem.

— Śluby wieczyste...

— Rozumiem! — Teraz w nim obudziła się nieśmiałość. Ukorzyła go i pociągnęła łagodność jej spojrzenia. Wstydił się sam siebie, swego ubrania, kurtki aksamitnej, strzelby, psów. Nie chciałby się jej nie podobać; zrozumiał, że, aby tego uniknąć, należało teraz odejść stąd. Podniósł się, uklonił przywołując psy — Azora i Pallino. Zdecydował się nie zbliżać już do niej; jednak następnego dnia powrócił pod to samo drzewo, ale już nie jako myśliwy. Dziewczyny nie było. Przyszła dopiero na trzeci dzień.

— Pani...

Uczyniła lekki gest wzdragania się. Broniła się przed tą nazwą.

— Siostrzyczka?

Chciałaby odepchnąć także i to słowo. Odepchnąć jego samego.

— Proszę się nie obawiać. Proszę spojrzeć: jestem bez strzelby, bez psów. Myślałem, że się może spotkamy i... Proszę mi pokazać tę książeczkę... Można? „O naśladowaniu Chrystusa Pana”... Moja matka trzymała ją zawsze w koszyczku od robótek...

— Matka już...

— Tak. Biedaczka. Od dwóch lat...

Jakaś dziwna słodycz objęła serce przyszłej zakonnicy. Spojrzała mu w oczy i spostrzegła po raz pierwszy, że nie narzucają uległości, gdyż są niebieskie. Niebieskie, jak siostry Kandydy, takie dziewczęce, takie słodkie. Czy i te oczy są dziewczęce i słodkie? Wszystko jedno. Wiedziała tylko jedno, że te oczy niebieskie, choć nie są oczami siostry Kandydy, nie przeszkadzają jej w pytaniu.

— Mam rozpocząć nowicjat za piętnaście dni... Mam bardzo surowego spowiednika. Muszę się skupić w sobie. Proszę więc...

Nie odrzekł ani słowa. Przyobiecał, kładąc rękę na sercu, że nie będzie się już nigdy naprzykrzał.

Modestina bardzo poważnie podziękowała.

— Pomodłę się za pańską biedną matkę...

I serce dziwnie się jej ścisnęło w piersi.

* * *

Dotrzymując obietnicy, nie szukał już dziewczyny, nie starał się spotkać z nią w domu; śmiał się z niej, z tej przyszłej siostry Modesty, wraz z Heleną, przyszłą matką. Zapomniał o wzruszeniu, jakie wywołał w nim na chwilę ten nie-

śmiały, słaby, zmieszany głos, to „westchnienie gołębic”.

Modestina zamknęła się w sobie i czuła jakby wyrzuty w sercu, że widziała tu, na wsi, zbyt wiele świata i że, dotąd jeszcze, z rzeczy tego świata prześladowała ją para oczu mężczyzny, bardzo słodkich i bardzo pięknych... Te oczy. Czy już nigdy od nich się nie uwolni? Może i sama siostra Kandyda będzie miała teraz oczy młodzieńca, co nazywał ją „panią”?

— O, święta Marjo Diomirol — wyjąkała, nie śmiejąc wezwać na pomoc zdradzonego oblubieńca.

Powróciła do pokoju; siedziała przedtem długo w lasku, mając za towarzystwo „Żywoty Alojzego Liguori i Tomasza a Kempis”, z pomiędzy których wysunęła się jakaś cudza książka, położona tajemniczą ręką, jakby ręką Bożą, na komódce. Ale to nie była książka pobożna. Przeczytała na okładce: „Historja o piegży-czarnogłówce” i przymknęła oczy. Nigdy nie czytała świeckiej książki, czytała jedynie „Żywoty Świętych” i modlitwy. Wiedziała, że są książki, których nie można czytać, ale ta tutaj, była to historja o małej czarnogłówce, o życiu ptaszka. Dlaczegoż nie mogłoby właśnie życie to być jakby żywot świętego? To taki wesoly ptaszek. Może żadne stworzenie boskie nie jest tak szczęśliwe, jak piegża-czarnogłówka, co śpiewa, śpiewa sobie w galku i nie wie, o czym śpiewa.

Spuściła oczy na pierwszą stronicę i czytała: „Widziałem małą piegżę-czarnogłówkę, zamkniętą w klatce: była zatrwożona, smutna, jakby chora,

spoglądała przestraszonym wzrokiem, wcisnęła się w kąt klatki i tam przysłuchiwała się wesołemu śpiewaniu innych ptasząt, co świegotały wśród zieleni łąk i pod błękitem nieba, śledziła je spojrzeniem, o którym możnaby niemal powiedzieć, że było pełne łez...”

— O, dlaczego?

„Po dwóch dniach schowała główkę pod skrzydełko, a nazajutrz znaleziono ją zeschniętą, jak wiórek, w jej więzieniu...”

— O, dlaczego?

„Matka dwojga dzieci, choć niewinnych, a jednak nieludzkich katów biednej ptaszyny, opowiedziała mi historję pewnej nieszczęsnej, która w murach klasztoru...”

— Klasztoru... Modesta drżała od stóp do głów, serce jej jakby jęczało, gdy powtarzała: Widziałem małą piegzę-czarnogłówkę... widziałem małą piegzę-czarnogłówkę... Ręce jej szukały małej książeczki, wsuniętej pociemku pod poduszkę na łóżku, a znajdowały jedynie tę bezbożną książkę.

— Nie bój się, dziewczeczko — ozwał się jej wówczas w sercu głos świątobliwej Matki Diomiry od Słowa Wcielonego.— To zrobiła Helena, twoja bratowa. Czyż to nie ona dała ci już flakonik perfum? A tyś go dotychczas nie otworzyła.

Ale książkę otworzyła i przeczytała ją; odczytywała często.

„...Jest niedziela. Rozumiesz wszystko to, co jest zawarte w tych słowach... nie powiem ci nic

innego. To było dzisiaj. Przyniesiono mi lody z tej uczy, wiesz?..."

To były listy czarnogłówki, jej zwierzenia do przyjaciela, który jest daleko.

"...Ten olbrzymi grobowiec ożywia się tylko wówczas, gdy jego drzwi otwierają się naoścież, ażeby przyjąć inną ofiarę..."

"Dwudziestego ósmego czerwca... Są chwile, w których, gdyby nie twoje listy, wszystko to, co cierpię, krzyczałoby całym moim jestestwem..."

"Bez daty... Bóg mnie opuścił; chociaż ty mnie nie opuszczaj.. O Nin, Nin, dlaczego mnie nie słyszysz?..."

Modesta przewracała kartki ukradkiem i ostrożnie, czytając to tu, to tam, ale to, co czytała, nie było dziełem przypadku: oczy jej szukały na marginesach znaków, zrobionych paznokciem lub ołówkiem, zapomocą których Helena dawała wskazówki przysłej mniszce, aby zatrzymała się nad wybuchem płaczu, krzykiem, łkaniem, wzdychaniem małej zrozpaczonej istoty, zamkniętej w klasztorze. Modesta była posłuszna. I płakała, krzyczała, szlochała i wzdychała razem z małą, nieszczęsną czarnogłówką, bo los jej miał tak wiele podobieństwa do losu tamtej.

— Święta Matko Diomiuro. Ptaszyna...

Zamierzała przyśpieszyć powrót do klasztoru i napisała do ciotki, ale listu nie wysłała, pozostał między kartkami bezbożnej książki. Zamierzała zwrócić książkę bratowej, ale zwlekała jeszcze, jakby nie śmiała albo nie miała odwagi z nią się

rozstać. A więc? Co robić? Nikt nie zwraca uwagi na jej biedne przerażone oczy: on jeden tylko zbliżył się do niej, on, piękny młodzian. Zdawało się, że wyczekiwał szczęśliwej chwili, ażeby wydrzeć jej obietnicę.

— Proszę pani... Nie, nie, proszę mi przebaczyć: nie „pani“ raczej...

Oczy niebieskie, oczy siostry Kandydy, znowu te oczy...

— Prosiłam... prosiłam, aby nie...

— Potrzeba skupienia, wiem... Surowy spowiednik, wiem. Ale nie mogę przestać myśleć o pani, spoglądać... Żałuję, że zadawałem tak niedyskretne... błahe... niedorzeczne pytania... Dusza moja, proszę wierzyć, jest w gruncie inna... Proszę pani... O Boże! jakże mam mówić? Siostró, nie, to mi się niepodoba... a Modesta — jeszcze mniej.

— Nie potrzeba... nie potrzeba... — szepnęła, wrywając się ku niemu, chociaż stała nieruchoma, uciekając, chociaż się nie poruszyła, a gdy święty obrazek wypadł na trawę z pomiędzy kart modlitewnika, a był to wizerunek świątobliwej Matki Dymiry—nie śmiała go podnieść.

— Dlaczego pani się mnie boi? Co jej uczyniłem? Cóż mógłbym uczynić? Pani wstępuje do klasztoru, aby rozpocząć nowicjat, za ile dni?

— Za pięć dni...

— No, właśnie. I czego się obawiać? Nie proszę nawet, aby pani pozwoliła mi obejrzeć rączkę przyszej zakonniczy... A gdyby pani mi ją dała? Gdyby pani naprawdę pokazała mi rączkę?

Wyciągnął dłoń ku „Naśladowaniu”. Modesta przyciskała książkę do piersi ruchem, do którego już przywykła w klasztorze, ale Maurycy, widząc, że się nie broni, pochwycił jedno i drugie—książeczkę i rączkę; książeczkę właściwie tylko poto, by wsunąć ją do kieszeni. Co się zaś tyczy wizerunku świątobliwej Matki Diomiry — już go poprzednio nakrył stopą.

Pocałunek... pocałunek, którym jakby tylko chuchnął na tę biedną rączkę mniszki, taką zimną. Modesta zaledwie go poczuła. A może nawet wcale nie wiedziała, co to było.

— Czarnogłówka!—szepnął jej. A ona usunęła rękę, tę rękę małego trupka. — Ani pani, ani Modesta, ani siostrzyczka, ani siostra, lecz piegża-czarnogłówka. Dobrze?

A wówczas oczy jej napełniły się łzami, usta zadrżały.

— „Widziałem raz biedną piegżę-czarnogłówkę...”

— Czytała pani książkę? „...była zatrwożona.. smutna... jakby chora...” — Ja to zrobiłem. Pewnego dnia... nie będąc przez nikogo spostrzeżonym... jak złodziej... zakradłem się do pani pokoiku z „Historją o piegży-czarnogłówce” w kieszeni...

— Więc nie Helena to zrobiła?

— Ja. Ja to zrobiłem!

I począł całować jej włosy, lecz czarnogłówka wyfrunęła mu z pomiędzy dłoni. Miała skrzydła.

Widział ją jeszcze dwa razy. Aby mu zaś znów nie wyfrunęła z rąk, nie usiłował więcej całować jej włosów, chociaż chciałby całować jej bladą twarz, nie osłoniętą jeszcze welonem; otrzymywał jednak łatwo drogą rączkę, taką zawsze zimną... zimną...

— Oblubienico—powiedział raz do niej; było to wówczas, gdy, zmieszana, odważyła się spojrzeć śmieiej w oczy swemu towarzyszowi.

Co chciał przez to powiedzieć? I kim chciał być?

— Moja droga—zwróciła się do niej matka, pokazując list ciotki, siostry Leonji,—trzebaby było powrócić do klasztoru...

Modesta poprosiła o małą zwłokę:

— Jeszcze tydzień... pięć lub sześć dni... tu, na wsi... z *wszystkimi*, których kocham...

...Przyjdzie, czy nie przyjdzie?... Iść do klasztoru czy nie iść? Miłość... klasztor... Mąż... Oblubieniec... O, Boże, jakże go poślubi?

A on nie przychodził.

— Jeszcze dwa dni, mamó... jeden dzień...

Ale ciotka, siostra Leonja, odpisała: „Jeśli nasza Modestina nie powróci do klasztoru, nie umrę z żalu...” tak pisała słodka, okrutna matka wikarjuszka, a ukochany przyjaciel, towarzysz—byłże nim Maurycy?... lub może ów „Nin”? — nie oddawał książeczki o „Naśladowaniu” i nic nie mówił i nie powracał, ubrany tak, jak w ostatnich dniach, bez strzelby i psów; przeciwnie pewnego, pięknego dnia zniknął zupełnie. W rodzinie śmiano się. Helena,

szyjąc, pochylona, wyprawę dla oczekiwanego dziecka, prosto, bez ogródek wymówiła imię pewnej przystojnej blondynki, złośliwej damy, w dodatku hrabiny, która była cudzoziemką.

— Pensjonat „Romito” będzie tego roku otwarty późno, bo mówią, że pani Wrigley pojechała do Szkocji. Wyobraźcie sobie, że jednak odrazu się spostrzegła, iż Maurycy to ładny chłopiec. Wszyscy możecie zaświadczyć, nawet i ty, Modestino, że natychmiast po swym przyjeździe tu, na wieś, zabrała się do tego, by go do siebie przynęcić...

* * *

Wyjechała następnego dnia, bez swej ulubionej książeczki. Ucałowała ojca, matkę, brata, bratową... i, całując Helenę, zdawało jej się, że całuje jej przysze dzieciątko. Żegnając się z życiem, pożegnała na zawsze i owego przelotnego towarzysza, a historia jej zawarła się w słowach:

„Widziałem raz biedną piegzę-czarnogłówkę...”



MAŁŻONKOWIE,
GODNI ZAZDROŚCI

W pokoiku hotelowym, z balkonem, wspartym na potrójnym łuku, a wychodzącym na morze, pani Furlan kończyła ubierać się do obiadu. Twarz jej, odbita w zwierciadle, twarz kwitnąca, bardziej jeszcze okrągła w obramowaniu ciemnych włosów, obciętych krótko nad karkiem, zdawała się w tej chwili zachmurzoną i chwilami zagniewaną. Mąż jej znów nie chciał przyjść na górę, by się przebrać, według przyjętego zwyczaju, i znów ukaże się przy obiedzie, ze zwykłą sobie nonszalancją, w piżamie koloru grochowego, z rękami w kieszeniach, z gołymi nogami w sandałach i nigdy niewygasłym papierosem w ustach.

Od dwóch tygodni zmuszona była znosić go, ubranego od rana do wieczora w prosty i niemal prymitywny strój plażowy. W tym hotelu pierwszorzędnym panie roztaczały wokół siebie zbytek nadzwyczajny, a panowie, nie wyłączając i mężów, którzy przybywali w sobotę, aby wyjechać w poniedziałek, wszyscy zmieniali ubrania trzy razy

dziennie, ze ścisłą dokładnością. Jednakże adwokat Hamikar Furlan, radca prefektury, na codzienne uwagi żony odpowiadał wzruszeniem ramion, gdy był w złym humorze, a gdy miał humor dobry, tłumaczył, że chce spędzić swe krótkie wakacje w błogiem zaniechaniu, w nieograniczonem lenistwie i nie dbać o etykietę wobec pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu osób, obojętnych, nieznanym mu, które, wraz z nim, korzystają z gościnności tego hotelu i słonej wody w skrawku morza Tyreńskiego. A gdy żona nalegała i zwalczała to przekonanie, pograżał się w czytaniu dziennika i nie zwracał na nią żadnej uwagi.

Od dwóch dni, pani Armada Furlan czuła się bardziej, niż zwykle, zdenerwowaną i mniej pobłażliwą na zaniechanie się Hamilkara, gdyż w pokoju przyległym zamieszkało obce małżeństwo, przybyłe niedawno, które, w czasie obiadu, zajmowało miejsce naprzeciw. Dwoje ludzi już niemłodych, ale nadzwyczaj eleganckich, o wytwornym wyglądzie, mówiących do siebie i uśmiechających się uprzejmie, okazywało nazewnątrz doskonałą harmonję, jaka między nimi panowała. Było to małżeństwo wzorowe, które zdawało się istnieć tam po to, by okazać zimnemu i obojętnemu małżeństwu Furlan, jak powinni się zachowywać, zwłaszcza wobec ludzi, zgodni małżonkowie.

Mąż, liczący blisko pięćdziesiątkę, miał wygląd stylowego gentlemana, sposób zachowania się — wielkiego pana, arystokraty, przyzwyczajonego rozkazywać całemu sztabowi służby. Był wysoki, kwa-

dratowy w ramionach, z monoklem, tak łysy i bez zarostu, że nie można było poznać, jaki miał kiedyś kolor włosów. Robił wrażenie zajętego nieustannie żoną—osóbką dość dojrzałą, wyblakłą, kościstą, delikatną blondynką, która zdawała się płonać ku niemu uczuciem milczącym i zamkniętem w sobie.

* * *

Pani Armanda, sama w obszernym, na dwie osoby przeznaczonym, pokoju, z balkonem, wychodzącym na morze, wypolerowała paznogie, wsunęła na palce pierścionki, na ręce bransolety, obejrzała się w zwierciadle, przechylając głowę ku lewej i ku prawej stronie. Po raz ostatni uchyliła drzwi na nieskończenie długi korytarz, w nadziei, że może Hamilkar zdecydował się przyjść, by przebrać się, że może więc jego zaniedbana sylweta tam jej się ukaże. W tej chwili otworzyły się drzwi obok i w świetle, jakie padło przez nie, ukazała się wzorowa para. Mąż, cały w czerni, z olśniewająco białą kamizelką, która uwydatniała jego tors, usunął się, aby pozwolić przejść swej blondynce, idącej za nim, eterycznej i powiewnej, w niebieskich gazach; ledwo wyszła, natychmiast wziął jej z rąk szal z czarnej koronki, obramowany puszką łabędzim, i okrył, czu e i delikatnie, półnagie ramiona. Podał jej ramię i poszli oboje długim korytarzem. Zeszli po marmurowych schodach, jedno przytulone do drugiego, w zgodnej powolności, w rytmicznej harmonji kroku, jakgdyby chcieli przedłużyć w nieskończoność tę wzajemną szczęśliwość.

Armanda Furlan śledziła ich, niepostrzeżona. Oparta o żelazną balustradę, stała, patrząc na nich z wysoka, dysząca ze złości, z rozdętymi nozdrzami, a gdy zniknęli za ostatnim zakrętem schodów, uderzyła ze złością obcasem w podłogę i spojrzała na zegarek. Nie mogła czekać dłużej: było już pięć minut po godzinie, w której rozpoczynał się obiad. Zeszła więc wolno, z czołem, przeciętem zmarszczką, niosąc na ręce swój złotozółty, jedwabny, wenecki szal z frendlami. Twarz jej miała wyraz cierpki, kobiety pięknej, której nie ośmieli się narazić nawet najodważniejszy mężczyzna.

Znalazła męża w czytelni, ubranego w piżamę koloru grochu, zajętego paleniem i czytaniem przeglądu, o poważnym naukowym tytule, rozciągniętego na bujającym fotelu, który od czasu do czasu wprawiał w ruch uderzeniem nogi. Podniósł głowę z nad pisma, posłał wchodzącej żonie półuśmiech, wraz z kłębem dymu, i z widoczną przykrością dźwignął własną rozciągniętą osobę z tej, prawie poziomej, pozycji. Powstawszy, złożył z uwagą przegląd naukowy, schował go do kieszeni i skierował się ku sali jadalnej. Przeszedł ją obojętnie, nie patrząc i nie zwracając uwagi na nikogo, nie zmieniając rozłagniętego wyrazu twarzy. Wszedł pierwszy i pierwszy usiadł przy zwykle zajmowanym stole w rogu, podczas, gdy żona kłaniała się znajomym paniom na prawo i na lewo, uśmiechając się i kiwając głową.

Obca para, siedząca na lewo od nich, siedziała już i czytała spis potraw. Mąż czytał półgłosem

nazwy i za każdym razem podnosił wzrok, aby się upewnić czy żona coś aprobejuje. Na małe ściągnięcie brwi, które zdawało się być grymasem lekkiego niezadowolenia, natychmiast milknął i, pochyliwszy się ku niej, prawie nieśmiało, wypytywał z uprzejmem naleganiem, poczem wezwał służącego, by mu wydać polecenie.

Pani Furlan śledziła z wzrastającą uwagą tę wzruszającą troskliwość w sprawach gastronomicznych, spozierając ostrożnie i nieznacznie na lewo, zapominając nawet popróbować zielonkawej zupy z jajkami i pływającymi po niej grzanekami, którą Hamilkar, siedząc naprzeciw niej, pochłaniał z ogromnym apetytem. Wkrótce talerz był pusty, a wówczas wyciągnął z kieszeni przegląd i przerzucał kartki. Nie spostrzegł nawet niepokoju i braku apetytu Armandy. Spoglądała teraz z uwagą na własne błyszczące paznokcie, rozdymała nozdrza i oddychała przez zaciśnięte zęby, jak to czyniła w chwilach, gdy tłumiła w sobie złość. W pewnej chwili złość ta nie mogła się już w niej pomieścić i wybuchnęła. Wyrzucała z siebie słowa cierpkie, głosem niskim i gardłowym, niezgodnie z uśmiechem, którym maskowała złość, aby nie zwracać na siebie uwagi sąsiadów.

— Nareszcie skończcie już raz przerzucać tę bibułę i zajmij się także trochę i mną! Moznaby powiedzieć, że jesteśmy w przededniu legalnej separacji.

— Dlaczego? — zapytał zaskoczony adwokat Furlan, podnosząc z nad stronicy czoło, zmar-

szczone w dwie półkrągłe zmarszczki, co robiło wrażenie, że ma podwójne brwi. — Co się stało?

— Nic się nie stało, raczej, mniej, niż ni! Od pół godziny siedzimy przy stole, a ty nie zaszczyliłeś mnie jeszcze ani słowem, ani nawet spojrzeniem — ciągnęła Armanda głosem, który dyszał stłumioną złością.

— Ach, tak, w istocie, masz rację — przyznał Hamilkar z flegmatycznym spokojem. — Czytałem ten artykuł o zarodkach formy syndykalizmu u Azteków z Kondurado, który mnie ogromnie zajmuje. Ale skończę go później. Porozmawiajmy więc. Kapałaś się dzisiaj?

— Nie, nie bardzo dobrze się czuję.

— I dlatego nie masz apetytu?

— Zauważyłaś to jednak?

Rozmowa w takim słodkokwaśnym tonie przeciągnęła się aż do owoców, które, jako najśłodsze i zanurzone w lodzie, uzyskały wkońcu ten zaszczyt, że smakowały bardzo zgorzkniałym ustom pani Furlan. Przy sąsiednim stole wzorowy mąż obierał z umiejętnością, delikatnie, olbrzymią brzoskwinię z jej różowej, aksamitnej skórki, trzymając ją na końcu srebrnego widelczyka. Po ukończonej operacji, podał ją, z uprzejmem pochyleciem głowy, żonie, która przyjęła ją, śmiejąc się głośno, z wybuchem dziecinnej radości.

Ten dźwięczny i niespodziany wybuch śmiechu ściągnął na nią wszystkie spojrzenia. Nawet adwokat Furlan spojrzał z pewnem zaciekawieniem,

zdawał się bowiem widzieć po raz pierwszy dopiero obcą parę, to też poświęcił jej nieco uwagi.

— To są nasi sąsiedzi z pokoju obok—objaśniła go Armanda cicho.—Ludzie zupełnie różni od przeciętnych. On ma minę lorda angielskiego i zdaje się być do szaleństwa zakochany w swej żonie.

— Mnie się zdaje, że ma minę międzynarodowego awanturnika i że, z nich dwojga, to ona jest bardzo zakochana — odparł radca prefektury.

— Ty, mój drogi — znów cierpko uśmiechnęła się Armanda — jesteś najuczepszy w sprawach administracji, ale w rzeczach miłości nie rozumiesz nic! Proszę cię, śledź w ciągu pięciu minut gesty, spojżenia, ruchy i wyraz twarzy tego osobnika, a potem udzielisz mi dokładnej opinii w tej materji. Obserwuję go uważnie od dwóch dni i mogę cię zapewnić, że ten mężczyzna jest doskonałością pod względem odnoszenia się do żony. Że ta para jest, pod każdym względem, godną zazdrości!

— Co ty możesz o tem wiedzieć? — roześmiał się Hamilkar sceptycznie i z ironją. Stosunki zewnętrzne, wobec ludzi, są często bardzo różne od stosunków prywatnych. Ci dwoje, którzy wobec nas nie szczędzą sobie pieśczołliwości, zamknięci w czterech ścianach swego pokoju, może nie zamieniają ze sobą ani jednego uprzejmego słowa.

— Ale cóż znowu! — zaprotestowała Armanda, kładąc łokcie na stole i opierając brodę na splecionych palcach.—Wstręt, chłód, obojętność, jeśli istnieją, nie ukrywają się jedynie ze względu na

bliźnich, znajomych lub głupców. Jesteś tej prawdy najoczywistszym dowodem!

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To jasne! Chcę powiedzieć, że gdy mąż osiągnął w miłości małżeńskiej temperaturę tego lodu, przeznaczonego do utrzymywania w świeżości owoców, podawanych na deser, okazuje to bez żadnej ceremonii także i publicznie, zajmując się Aztekami z Kondurado, nawet przy własnej żonie. I naodwrot, gdy mąż kocha prawdziwie, pije, z oczami wniebowziętymi, z kieliszka musującego wina, w którym jego żona przed chwilą umoczyła wargi, jak to w tej chwili czyni lord angielski.

Adwokat Furlan zaśmiał się, rozbawiony, i zażartował dobrodusznie:

— Nie możesz już dzisiaj wymagać, abym ci wyznawał miłość dwa lub trzy razy na dzień, jak wówczas, gdy byliśmy narzeczonymi! Ale, jeśli właśnie to ćwiczenie jest koniecznie potrzebne do twego szczęścia, dziś wieczór, na balkonie, nad morzem, wiecznie ruchliwym, które wzdycha i śpiewa u naszych stóp, spróbuję odzwierciadlić ten czas miniony i ten zwietrzały sentyment.

— Głupiec! — rzuciła mu żona przez zaciśnięte zęby, co wybiegło, jak lekki świst, z poza ledwo uchylonych warg. Podniosła się, odsunęła krzesło i, zanim odeszła, rzuciła raz jeszcze bacznie okiem na lewo. Obcy mąż zapalał papierosa żony od swego papierosa, z twarzą uśmiechniętą, blisko jej twarzy, z oczami, zachwyconymi i pełnymi uwielbienia, zatopionymi w jej oczach.

Mała dysharmonja zaznaczyła się w najbliższych dniach. Armanda miała charakter impulsywny, była uparta, o temperamentie bujnym, myślała wiele o sobie, wskutek czego najzwyczajniejsze doznawane wrażenia wyolbrzymiała w swej fantazji, przez co odbierały jej spokój, a fakty, zaledwie więcej, niż przeciętne, urastały w dramaty. Na trzeci dzień wiedziała, że lord angielski był właściwie oficerem rumuńskim, który, nie mając ani tytułów, ani herbów, zwał się poprostu zmieszczkańska — panem Micaloglu; niemniej jednak Armanda egzaltowała się w dalszym ciągu wzruszającą tkliwością, okazywaną przez tego małżonka połowicy, i nie przedstawiała zajmować się tą parą w ciągu godzin, gdy wracali z kąpieli i z plotkowania na plaży. Okazje trafiały się dość często, gdyż pani Firlan pogrążała się w słonych falach co trzy lub cztery dni, a miała o sobie za wysokie mniemanie, aby zawierać przelotne znajomości hotelowe.

Mężczyzna w szczególny sposób zachwycał ją tem swoim ciąglem okazywaniem czulej uprzejmości i delikatnej troskliwości, tą swoją nieustanną adoracją, w porównaniu z bezwzględną obojętnością Hamilkara, stale pogrążonego w czytaniu czasopism i puszczającego dym z papierosa. I aczkolwiek nie chodziło tu o rzecz nową, gdyż mąż jej okazywał zawsze, bez żadnych osłonek, od pierwszego roku pożycia małżeńskiego, swe usposobienie zimne i mało towarzyskie, jednakże po-

równanie z przesadną czułością tamtego, który wydawał jej się pod każdym względem wzorowym, rozjątrzyło w niej to przyzwyczajenie, które stworzył najlepszy lekarz — czas.

Oto teraz wzorowe małżeństwo wyszło, według zwyczaju, na przedwieczorną przechadzkę wzdłuż alei pomarańczowej, która przecinała park hotelowy. Słońce, zachodząc, stało jeszcze nad taflą morza i rzucało ostatnie strzały promieni, które, podobnie, jak spojrzenia pięknej kobiety o zachodzie jej życia, są najbardziej przenikające. Micalogiu odebrał ze szczupłych dłoni żony parasolkę z zielonego jedwabiu, o rączce, rzeźbionej z kości słoniowej, otworzył ją i zasłonił bladą twarz kobiecą, która uśmiechała się do niego z wdziękiem, bez słów, jakby zanadto zmęczona, by mówić cokolwiek. Zniknęli w cieniu pomarańczy, a po chwili wracali pod rękę, idąc, jak zwykle, wolno i rytmicznie, kobieta wsparta na nim, jakby omdlewając ze zmęczenia, mężczyzna zaś podtrzymywał ją jedną ręką, a w drugiej niósł parasolkę, obecnie niepotrzebną, ale tak ładnie wyglądającą, jakby niósł bukiet rzadkich kwiatów.

Portjer wybiegł naprzeciw nich i wręczył im pocztę, którą rumun odebrał z miną niedbałą. Ale pani z niecierpliwością chciała dowiedzieć się o jej treści, więc mąż natychmiast ustąpił. Usiedli na werandzie, na dwóch wyplatanych fotelach, on podsunął jej poduszki, jedną pod plecy, a drugą pod stopy. Każde z nich przebiegało własną korespondencję w skupionem milczeniu i komentowało ją

od czasu do czasu jakimś słowem lub wykrzyknikiem. Potem mężczyzna rozłożył dzienniki z Bukaresztu i, pochylony ku żonie, począł czytać najciekawsze wiadomości, których słuchała z przymkniętymi oczyma, z głową, przechyloną na oparcie fotela, i z wyrazem rozleniwionej błogości, rozlanym na bladej twarzy i w szczupłej postaci.

* * *

— Ten twój Micaloglu, ze swą przesadą, ze swem nadskakiwaniem, jest poprostu śmieszny — zaopiniował adwokat Furlan pewnego dnia, po całej serji zachwytów Armandy i bezustannych zachęcań z jej strony, by brać przykład z tego wzorowego męża — jest śmieszny, ponieważ nie idzie tu o dwoje małżonków, dopiero co poślubionych, pogrążonych jeszcze w zachwytach neofitów, lecz o dwoje starych rekrutów małżeńskich, którzy powinni by się nauczyć, jak my, żyć mądrze i poważnie.

— To jest właśnie mylne przekonanie — zaopiniowała nieprzejednana Armanda. — Ta para, nie pierwszej już młodości, jest podziwu godna. Ten mąż zadziwia tem, że jest zakochany w tej żonie, niemłodej i niepociągającej, tak, jakby pierwszy tydzień poślubny przedłużał się dla niego w nieskończoność. To jest jeden z rzadkich wypadków, w którym czas nie osłabił, nie zatruił goryczą, nie zniszczył miłości! Jakżebym była szczęśliwą, gdybym mogła poznać historję ich serc, dzieje ich miłości, sentymentalnej i namiętnej! Gdyż jestem pewną, że pod tem ślepem i wytrwałem bałwochwal-

stwem istnieje jakaś zagadka psychologiczna, może nawet splot wydarzeń wzruszających, intryga kolei losu, dramatyczna i dziwna.

Furlan położył papierosa na popielniczce, skrzyżował ramiona i spojrzał, zaniepokojony, na żonę. Podziw Armandy dla tej obcej pary zmienił się w ciągu kilku dni w egzaltację, a egzaltacja zdawała się teraz dosięgać już absurdu! Wiedział, że była fantastyczką i łatwo się zapalającą, ale nie sądził, by była zdolną do takiego podniecania się na widok czułości, jaką okazywał ten podtatusiały, łysy jegomość swej limfatycznej blondynce. Należało sprowadzić jej wyobraźnię na twarde poziom rzeczywistości, tej rzeczywistości, być może zwyczajnej i przeciętnej, w jakiej tkwili ci ludzie, może mierni aktorzy, którzy, opuściwszy scenę, znajdowali przyjemność, grając przed publicznością hoteli komedię miłości o wysokim napięciu, lub może starzy mistyfikatorzy, zabawiający się tą sztuczną karykaturą przesadnej namiętności, która zdumiewała, podniecała lub gniewała przy-padkowych widzów.

Radca prefektury uczył, rodzącą się w nim, czujną intuicję sędziego, przyzwyczajonego do szperania w sumieniach ludzkich, do zondowania za pomocą jednego rzutu oka, i ten egzotyczny nibyto mężczyzna, który wzdychał i mdlał u stóp własnej żony, stawał się dla niego osobnikiem dwuznacznym, a wskutek tego, nie do zniesienia.

Ale jak dowiedzieć się o jego życiu i o jego prywatnych sprawach?

Hamilkar spostrzegł, że i on, podobnie jak Armanda, chciałby poznać dzieje tej pary, już nie dlatego, aby sądził, że odnajdzie w nich wzruszające komplikacje lub natchnienie do jakiegoś tragicznego poematu, ale, aby przekonać się, czy jego pesymistyczne przypuszczenia, dotyczące wątpliwej wartości moralnej tego indywiduum, były dokładne.

Ujął znów, odłożony przedtem, papieros i snuł przypuszczenia, obserwując z pod przymkniętych oczu Armandę, która udawała uśpioną, rozleniwiona upalem, leżąc wśród poduszek na bujającym fotelu.

Poprzez otwarte drzwi salonu, poprzez halę, opustoszałą w tej popołudniowej godzinie, kiedy prawie wszyscy odpoczywali w swych pokojach, zobaczył, przechodzącego przez ogród, pana Solersi i nagle błysnęła mu pewna myśl. Solersi był wyjątkowym typem hotelarza, który, zamiast ukrywać się w tajemniczych głębiach własnych apartamentów, jak wszyscy właściciele wielkich hoteli międzynarodowych, pozwalając klientom załatwiać wszelkie sprawy z portjerem i sekretarzem, ubiegał się o wzbudzenie sympatji i życzliwości znakomitych gości i w wielu wypadkach zawierał z nimi trwałą przyjaźń. Między tych ostatnich włączył teraz adwokata Furlan, dystyngowanego urzędnika państwowego, z którym wdawał się często w uprzejme pogawędki. Mówił o Ostendzie, Biarritz, o San Sebastiano, opisywał wielkopańskie hotele, których był dyrektorem w czasie swej kariery, opowiadał o śmiesznośtkach, manjach i ekstra-

wagancjach pewnych sławnych podróżników i pewnych, żądnych przygód, podróżniczek.

Gdy więc ta niespodziana myśl mu się nasunęła, Hamilkar posłał uprzejmy ukłon w stronę pana Solersi, który szedł z ogrodu i przebiegał właśnie pustą halę niedaleko od niego. Hotelarz nie potrzebował innych zaproszeń i podszedł z uśmiechem, by uścisnąć obiema rękami prawicę adwokata i by ofiarować pani, otwierającej zaspane oczy, wonną tuberozę, zerwaną w cieplarni.

— Nieprawdaż, panie Solersi, że pan jest podobny do spowiednika swej pobożnej owczarni i że zna pan życie publiczne i prywatne wszystkich klientów?—spytał Furlan żartobliwie.

Na to nieoczekiwane zapytanie, które mogło ukrywać w sobie zręcznie zamaskowany zarzut, iakkolwiek uczyniony tonem poufałym człowieka, umiającego nawiązać rozmowę, hotelarz zrobił minę oburzoną.

— Ależ, co pan mówi, panie mecenasie!— i usiadł naprzeciw, z miną konfidencjonalną, a jednak pełną szacunku.

— O, broń Boże, nie chcę pana obwiniać— nalegał Furlan, zachęcająco. — Wprost przeciwnie, drogi przyjacielu. Te badania wchodzą w zakres dobra pańskiego domu, prawie mógłbym rzec, pańskich obowiązków i są, prawie zawsze, bardzo przydatne. Pan, który, jako osobistość niezależna, prowadził kierownictwo pierwszorzędných hoteli w Europie, i zna wogóle i w szczegółach: wiek, stan majątkowy i rodzinny, występkę wszystkich boga-

tych neuropatyków, objeżdżających świat, wie prawdopodobnie także, kto i co za jedni są ci małżonkowie, przybyli od tygodnia, co śpią po prawej stronie obok nas, a jedzą po lewej, i którzy chodzą, pogrążeni w pieszczotach nieustannej, miłosnej idylli.

Radca prefektury przerwał w tem miejscu i rozpoczął na nowo, mówiąc przez nieuważę językiem biurokratycznym:

— Proszę nie sądzić atoli, że zamierzam zrobić użytek z pańskich informacji z wyższego polecenia, albo, że mam poruczone przeszkodzić jakimś sprawom, dotyczącym spokoju publicznego i bezpieczeństwa państwa. Nie! Chodzi tu jedynie o zwykłą ludzką ciekawość i może trochę o plotki próżnujących osób lub, aby być dokładniejszym, o ciekawość mej żony, dla której ten pan przedstawia wzór niedościgniony feniksa wśród mężów.

— Pan Micaloglu?—zaznaczył hotelarz z uśmiechem złośliwym, wznosząc brwi, przekonany już teraz, że mówiąc, nie wpadnie w zasadzkę i uzupełniając ruchami prawej ręki udzielane wiadomości.—Znam go od dziewięciu lat. Jest to wysoki oficer rumuński, który był także na służbie u dworu. Ale nie podoba mu się życie w Bukareszcie, wziął więc dłuższy urlop i udał się w podróż. Co zaś do żony, zaraz opowiem... Micaloglu był zawsze wobec dam pełen wyjątkowej galanterji, prawie tej, z dawnych czasów; całuje po rękach, kłania się ciągle, wzdycha, czuli się. Dziewięć lat temu, gdy zamieszkał w hotelu „Majestic” w Osten-

dzie, był zakochany po uszy w pierwszej żonie—paryżance, starszej od niego, byłej aktorce, o której mówiono, że jest bardzo bogata.

— Co? — skoczyła Armanda, która od pięciu minut słuchała chciwie, z pierśią, podaną naprzód, i drgającymi nozdrzami. — Ten wzorowy mąż miałby już inną żonę przed tą?

— Miał ich dwie, szanowna pani—wyjaśnił Solersi.—Po pięciu latach, gdy mieszkał w hotelu „Astor” w Deauville, paryżanka już nie żyła, a Micaloglu był szczęśliwym mężem młodzianki Brazyljanki, córki bankiera, arcymiljonera w San Paulo, i w tej także zdawał się być zakochany do szaleństwa, chociaż była suchotnicą w ostatniem stadium. Tym razem, ze względu na żonę i naszą poprzednią znajomość, okazywałem mu szczególniejsze względy, a on był mi za to tak wdzięczny, że staliśmy się przyjaciółmi. Podróżował w dalszym ciągu i przysyłał mi stale karty pocztowe z widokami z najpiękniejszych miast obydwóch kontynentów, dopóki, przed ośmiu dniami, nie przybył tutaj z nową żonką. Ale ciekawe jest, że zaledwie przybyli, opowiedział mi, z miną wielce zasmuconą, długą agonję drugiej żony, zmarłej półtora roku temu w Davos, a opowiadanie jego było tak wzruszające, że trzecia żona, obecna przy tem, płakała i wzdychała tak, jakby już słyszała przepowiednię swego niedalekiego końca.

Adwokat Furlan na tę złośliwą aluzję, która prawie dokładnie zgadzała się z jego nieokreślonymi podejrzeniami, nie mógł powstrzymać dłużej

głośnego śmiechu, który poprostu wytryskał mu z oczu i wykrzywił wargi.

— Małżonkowie, godni zazdrości! Doskonały mąż! Wyekspedjował już gładko na drugi świat dwie nieszczęśliwe żony, stworzył sobie już dwa razy wygodne wdowieństwo, otrzymawszy prawdopodobnie za każdym razem znaczne spadki, które pozwalają mu żyć, jak wielkiemu panu. Oto do czego zmierzają nadskakiwania tego chronicznego symulanta miłości! A ofiarą pada zawsze ona.

— Przepraszam, panie mecenasie — przerwał Solersi i wstał uroczyście, z powagą, jakby dla zamknięcia tych nawiasów, w których miała miejsce złośliwa obmowa, i by stać się znów wielkim, poważnym właścicielem hotelu, troskliwym o dobre imię dystygowanej i wiernej mu klienteli. — Micaloglu, mimo tego, nie przestał nigdy być i okazywać się w każdym wypadku najuczciwszym człowiekiem, niemal aż do przesady, prawdziwym i autentycznym rasowym gentlemanem. Mogę ręczyć za niego słowem honoru, ja, co znam go i poważam od tylu lat. Jedyne przypadek tak zrządził

— Drogi panie Solersi! Obydwaj żartowaliśmy — potwierdził Furlan, marszcząc brwi, odpowiednio do ważności, urzędu, jaki piastował, ale z pod przymrużonych powiek przebłyskiwało wesołe szyderstwo. — To, co spotkało tego gentlemana, dwa razy owdowiałego, to zwykły fatalizm. Są nieszczęścia, którym się podlega, gdy się za bardzo kocha! Los prześladuje kochanków...

Opuścił głowę i westchnął ze smutkiem, kierując równocześnie ku żonie, która milczała, zdumiona, metaliczny błysk sarkastycznego spojrzenia...



Luigi Tonelli

SEN I PRZEBUDZENIE RESETTY

— Prędko, Rosetto, śpiesz się! Już prawie północ...

Rosetta mozoliła się, wycierając całą górę noży, widelców, łyżek, naczyń, talerzy i talerzyków, którą grubas, biało ubrany, piętrzył na stole, po staranem i dokładnem ich umyciu i opłukaniu. Ale to trwało bez końca! A ona była jeszcze tak niewprawna... Mniejsza już o talerze, chociaż były wszelkich rodzajów i wielkości, od najmniejszych, prawie mikroskopijnych, do największych, prawie olbrzymich. Niektóre naczynia były jej zupełnie nieznanne. Nie wiedziała, z której strony je ująć, tak były dziwne, zabawne, skomplikowane...

— Uważaj na noże, widelce i łyżki. Wszystkie są srebrne, a te, tutaj, są złote...

Rosetta otwierała oczy szeroko. Srebrne? Złote? Czyżby się dostała do pałacu królewskiego, do zaczarowanego zamku wróżki? Prawie obawiała się tych sztuców, złotych i srebrnych, błyszczących tak, że mało jej nie oślepiały i od czasu do czasu kaleczyły palce, które krwawiły.

— Skaleczyłaś się?—i chłopisko o ogromnej twarzy śmiało się do rozpuku, trzymając się za

brzuch, może z obawy, aby nie pękł. — Patrzcie ją! Te delikatne rączki...

Człowieczek, również biało ubrany, ale o wiele czystszy od tamtego i w śnieżnobiałej czapeczce na głowie, zwabiony śmiechem, odłożył księgę, którą przeglądał, i zbliżył się do dziewczęcia.

— Pokażno...—Ujął ją za drobne, różowe rączki, zbadał dokładnie, pogłaskał prawie żarłocznie.—E, to nie! Jak skończysz, przyłożę ci plaster...

— Biedaczka!...—przerwała kobieta, licząca lat koło trzydziestu, gruba i okazała, wykrzywając się ironicznie. Pomażała ona innej, starszej, w szorowaniu kuchni.—Biedaczka! Oho, panie Józefie, czy pan przypadkiem nie złapał gołąbka, by go upiec na patelni?

— Zamilknij, języku djabelski! — odburknął człowieczek. Ale twarz jego, jeszcze młoda pełna, bez zmarszczek, świeżo wygolona, nie zdołała okazać wyrazu tej złości, jaką chciał udąć; bowiem jego śmiejące się oczki, biegały tu i tam, mrugając złośliwie.

— Rosetto, uważaj... — napominała starsza kobieta, nie zaprzestając pracy.

— Ciotko—wybuchnęła dziewczyna, niemal z lkanem—oni naostrzyli wczoraj te przekłete noże...

Ogólny wybuch śmiechu. Nawet kuchnia zdawała się cała śmiać, otwierając naościę gardziel pod okapem komina. Zwysoka śmiały się spokojnie, śmiechem gorącym i serdecznym, całe baterje miedzi, u dołu, blade i zimno baterje z aluminium. A do wtóru im śmiały się szklanki, filiżanki, kielichy kryształowe, cienkie i błyszczące.

Naraz wielki zegar kuchenny począł bić ze skrzypieniem zardzewiałego żelastwa.

— Corpo di baccho, północ! — I człowieczek, biało ubrany, zeskoczył ze swego miejsca, zamyka-

jąc i odsuwając księgę.—Polecam się państwu: jutro, punktualnie o szóstej, proszę, by wszyscy się tu stawili. Księżna wydała mi, w związku z jutrzejszym obiadem, nadprogramowe rozkazy.—I odszedł śpiesznie, krokiem lekkim, nieco kołyszącym się.

Kobiety i grubas pomagali Rosecie. Wkrótce wszystko było w porządku. Kuchnia aż lśniła.

— Biedna Rosetto! zmęczona jesteś? — spytała starsza kobieta, gdy została sama z dziewczyną.

— Nie, ciotko. Ale tak trudno jest obchodzić się z niektórymi rzeczami.

— Przyzwyczaisz się. Upłynęło zaledwie dwa dni. A zresztą dzisiaj była specjalna kolacja...

— Boże, ileż ci państwo jedzą!...

— Tak ci się zdaje? Ehl — i kobieta zaśmiała się.—Jednakże państwo są wybredni i nieraz nie dotkną nawet tych darów Bożych.

— Ciotko! chciałabym być jeszcze w domu...

— Do domu powrócisz we właściwym czasie. Cóż tam takiego pięknego w tym domu?

— Tam jest mama...

— Eh, mama, mama! — Ciotka poczęła mruczeć coś do siebie. A potem zwróciła się do Rosetty tonem macierzyńskim:

— Idziemy spać!

— Nie jestem śpiąca. A zresztą, jeszcze nie napisałam...

— Ależ dopiero onegdaj przybyłaś!

— Obiecałam mamie, że zaraz napiszę. W dzień zaś nie mam czasu.

Dziewczyna prosiła tak długo, że ostatecznie ciotka pozwoliła jej zostać samej i pisać.

— Dobranoc.

Stara zgasiła wszystkie światła, za wyjątkiem dużej lampy, płonącej nad stolikiem, gdzie pan Józef zwykł był robić swoje rachunki. Gdy ciotka

zniknęła, usiadła tam teraz Rosetta, ujmując za pióro, z sercem, przepelnionem, i głową, w której wirowało wszystko, jak na karuzeli.

...Ale jakże mogła pisać? Nie mogła pozierać myśli, nie znajdowała słów. Chciałaby tak wiele powiedzieć tej mamie, która była daleko... I nie wiedziała, od czego zacząć! Jaka dobra była matka! Jak płakała, widząc ją odjeżdżającą. Odprowadziła ją, pieszo, aż na samą górską stacyjkę! Rozstanie było konieczne. Rodzina—liczna; mająteczek przynosił mało dochodu, trzeba było się usunąć. A że była najmłodsza i najmniej pożyteczna z siostr, wysłano ją do miasta, do domu, gdzie służyła ciotka.

Najmniej użyteczna... zapewne. Gdy posyłano ją, by pasła bydło, zawsze któreś jej zginęło. Stróżowała je z rozłargnieniem i nieuwagą, pograżając się albo w podziwianie obłoków, lub biegając za motylami, albo przeglądając się w zielonkawej wodzie fontanny. A jeśli powierzono jej jakie roboty w domu, rozpoczynała je wprawdzie z uwagą, lecz już po chwili myśl odrywała się, błądziła w przestworzach, fantazjując na tematy najniedorzeczniejsze.

— Nie wiem, rzeczywiście, kto cię stworzył! — wykrzykiwał nieraz ojciec półserjo, półżartem.

— Widać, że dużo płakałaś, wówczas, gdy cię oczekiwałam — mówiła matka, gdy niespodzianie zastawała ją w chwili zadumy i smutku.

W istocie, często bywała smutna. Lecz smutek jej był dziwny, wyciskający łzy bez powodu. Nie miała bowiem żadnych innych pragnień, jak tylko, by patrzeć na piękne rzeczy, rosnące na otwartem polu pod jasnym niebem. Albo raczej był powód: zmuszano ją do pracy, do trudów, jak inni, w polu, podczas, gdy byłoby tak słodko wyciągnąć się na zielonej trawce i podziwiać boskie twory...

A teraz w tym pałacu w kuchni... O, wszystko było w nim cudowne — lecz brakowało tych drobnych i drogiej rzeczy. Brakowało sióstr, braci, ojca, a przede wszystkim matki; a potem wsi, a potem... potem... swobody... Jeszcze dobrze, że z tego okna mogła dostrzec kilka pagórków! Oto właśnie księżyc osrebrzył je wszystkie, że wyglądały, jakby pokryte śniegiem... Gdyby nie było zimno, otworzyłaby okno i, oparłszy się na łokciach, rozkoszowałaby się tą wielką mlecznobiałą poświatą księżycza.

...Ale co to? Niespodzianie na progu stanęło zjawisko. Dziewczyna krzyknęła i chciała uciekać.

— Dziecińol... Czyż nie wiesz, że to karnawał? Jestem Pierrotem. Jestem też synem księcia. — I zdjął maskę, ukazując piękne oblicze młodziana.

— O, księżę-paniel... — biedaczka drżała cała, choć starała się uśmiechnąć.

— Nie znasz mnie? Ja cię też nie znam. Kiedy tu przybyłaś?

Rosetta starała się wyjaśnić, mieszała się, uśmiechała, rozśmieszając swem zakłopotaniem młodego księcia.

— Jesteś piękną, dziewczyno! — rzekł nagle, patrząc na nią z uwagą. — Twe blond włosy, gdy są rozpuszczone, sięgają ci pewnie do kolan; twarzyczka twoja jest świeża, jak jabłuszko.

Młody księżę nie ma jeszcze lat ośmnastu i wypił dziś troszeczkę. Jest sam, wśród nocy, z piękną piętnastoletnią dziewczyną, nic więc dziwnego, że mu trochę trudno mówić...

— Nazywasz się Rosetta? Podoba mi się to imię... A ja, Jerzy...

— Księżę...

— Nazywaj mnie Jerzy. Albo lepiej Pierrot... Chcesz być Kolombiną?

Jerzy objaśnia dziewczynie wszystko. Jutro jest ostatni dzień karnawału: chce sam się zabawić i zabawić Rosettę. Przebierze ją za Kolombinę, założy maskę i, gdy już nikogo nie będzie w domu, w nocy, pójdzie z nim, a on pokaże jej tyle pięknych rzeczy...

— Nie obawiaj się. Jestem gentlemanem. Będę umiał cię uszanować i innym nakazać szacunek.

— Ale ciotka...

Jerzy myśli, kombinuje, postanawia. Wszystko w porządku. Udało mu się wreszcie przekonać Rosettę.

...Czy ona śni, czy się już zbudziła? Gdy Jerzy, żartując, śmiejąc się i kłaniając z przesadą swej „księżniczce”, swej „Kolombinie”, zniknął, Rosetta przetarła oczy... Był to sen czy jawa? Ale nie, nie sen... Na olśniewająco białym marmurze stołu rzucona wielka, czarna plama, jakby z atramentu — zapomniana czapeczka Pierrota. A więc to prawda. Jutro... Jest szczęśliwa. Odczuwa potrzebę spojrzenia w przestwór nieba... Siada przy oknie, by podziwiać księżyc i gwiazdy; by powierzyć im swą upojną szczęśliwość...

Zasypia. Śni i śni o Pierrocie i Kolombinie, którzy kłaniają się sobie wzajemnie, tańczą razem, uśmiechają się, ściskają za ręce, wreszcie Pierrot nachyla się nad Kolombiną i całuje ją...

...Lecz prześniony sen niczem był w porównaniu z snem, przeżytym następnej nocy.

Wyszedł kucharz, kuchcik i służące. Ciotka Rosetty wyszła, by przygotować bufet i pilnować go w łoży gmachu Opery, dokąd mieli przyjść zaproszeni przyjaciele Jerzego. Poleciała usilnie Rosecie, by natychmiast udała się na spoczynek, obiecując wrócić możliwie prędko. Ale Rosetta wiedziała, że ciotka nie wróci przed świtem. Mogła więc i ona

wyść, pewna, że się to nie wyda. Koło dziewiątej, gdy życie w pałacu zamilkło, ubrała się. Wciągnęła delikatne, cienkie pończoszki, włożyła pantofelki atlasowe, które zdawały się być dwiema łupinkami orzecha. Ubrała się w kostjum, mieniący kolorami, nastroszony koronkami i wstaweczkami, głowę ustroiła w czapkę... Przejrzała się w zwierciadle. Wspaniale! Jeszcze nigdy nie była tak piękną! Zegar wydzwonił dziesiątą. Z sercem, bijącym, jak dzwon na trwogę, oczekiwała na piękne książątko.

Pierrot był punktualny i uprzejmy: podziwiał, zachwycił się... Cicho, cichutko zeszli ukrytymi schodami, wychodzącymi na mały park. Przebiegli go, kryjąc się w cieniu; i przez żelazne drzwiczki, napółukryte wśród wiecznie zielonych roślin, wyszli na ulicę. Nareszcie! I tak zamaskowani, niepoznani, mogli teraz iść, używać zabawy w ostatnią noc karnawałową.

— Nie znasz nic, nie widziałas jeszcze nic w życiu. Tej nocy ujrzysz niejedno...

Rosetta wyczuła w głosie Jerzego coś obcego: jakby drżenie, trwogę, które chciał opanować i ukryć... Ale czyż ona także nie była wzruszoną? Bo jakkolwiek pewną była, że ciotka nic nie spostrzeże i że właściwie nie robiła nic złego, idąc zobaczyć trochę świata w towarzystwie syna swego pana, sumienie jej jednak nie było spokojne. Wśród tej błogości, jaką odczuwała na myśl, że jest wolną, wsparta na ramieniu młodziana, rodziła się w niej ukryta jakaś gorycz, utajona obawa...

Ale Rosetta nie chciała myśleć za wiele o sobie samej. Wołała patrzeć. Maski szły gromadami, wyjąc, piszcząc, hałasując grzechotkami i bijąc w tamburyno. Kręciły się wokół Pierrota i Kolombiny, poczem niknęły w ciemności. A gdy przyszedli na Corso, otoczył ich hałas niemal piekielny. Powódź światła, tłum nieskończony jak niekiedy, strojnych w naj-

barwniejsze kostjummy. Tu i owdzie jakiś zapóźniony wóz, przedstawiający rzeczy dziwne, śmieszne, niezrozumiałe, a jednak cudowne.

— Odwagi, Kolombino! Teraz wejdziemy do kawiarni...

Jerzy polecił Kolombinie więcej się udzielać, być uprzejmą i grzeczną dla wszystkich i nie dziwić się niczemu. Aczkolwiek Rosetta nie miała już być sobą, lecz Kolombiną, odczuła ogromne zakłopotanie i nie mały podziw. Zamek z kryształów i luster, który coraz innemi mienił się barwami, mnóstwo pań, błyszczących od klejnotów, i panów, a wszyscy poruszający się w takt muzyki, o której nie wiedziała, skąd się bierze; tak zdawała się i bliska i daleka. Niejednokrotnie jakieś domino zbliżało się do ich stolika i o coś pytało. Rosetta nie wiedziała co odpowiedzieć, nie rozumiała nic. Dobrze jeszcze, że mogła swobodnie zaczerwienić się pod maską, dobrze jeszcze, że Pierrot zawsze był gotów do odpowiedzi, zamiast niej! — Jakże pięknie mówił ten Pierrot! Jaki był uprzejmy dla wszystkich! Także i dla tego pana, czarno ubranego, z śnieżnobiałym gorsem koszuli z przodu, który nosił dzban srebrny i butelkę, pełną zielonego płynu.

— Pij, proszę cię...

I piła ten płyn, zimny, jak lód, aromatyczny, który przypominał jej zapach pól.

— Idziemy...

Wkrótce potem byli w pałacu, prawdziwie czarowanym.

— To jest największy teatr w mieście, przekształcony dzisiaj, stosownie do potrzeby. Widzisz? Na parterze tańczą; na scenie gra muzyka; w łóżkach stoją i patrzą, jedzą i piją...

Rosetta nie widziała nigdy teatru; słyszała jeno, jak mówiono o tem. Ale to, co widziała, przechodziło o wiele to, co sobie wyobrażała.

— Rozumie się, że to nie zawsze jest tak, jak dzisiaj. Wiele szczegółów ukrywa się pod płótnami i malowanymi obrazami, a znów wiele innych zrobiono zapomocą gry świateł i pozornych efektów... Połoba ci się? Chcesz tańczyć?...

Nie, Rosetta nie chciała tańczyć. A zresztą, jakżeby mogła tańczyć ordynarne wijskie tańce z młodym księciem? Tutaj tańczono zupełnie inaczej.

— Nie dbaj o to, Rosetto. To są modne tańce.

Było tak gorąco, że można się było udusić. Dziewczyna chciała by nieco wypocząć i dopiero wówczas móc patrzeć, stojąc w głębi... Jerzy pobiegł natychmiast poszukać wolnej łoży. Znalazł ją i zaprowadził tam Rosettę; nareszcie w odosobnieniu łoży mogli zdjąć maski i patrzeć na siebie... Było to jakby objawienie! Jakież promienne były ich twarze; oczy błyszczały nowym blaskiem, wargi drżały...

— Nie, Rosetto, nie chcę ci zrobić nic złego. Chcę tylko spoglądać w twe oczy, pieścić twe ręce, takie drobne i delikatne. O, jesteś rzeczywistą pasterką, jedną z tych, które mówią i śpiewają w książkach...

Dziewczyna nie rozumiała dokładnie wszystkiego, co mówił. Rozumiała tylko, że młody książę był wzruszony i szczęśliwy i że mówił tak słodko, jak dotąd nikt na świecie. Trzęsła się, niby ze strachu; drżała prawie, jak z zimna. Lecz ani się bała ani było jej zimno...

Jerzy kazał podać kolację, której sam widok zaosirzał apetyt, ze słodyczami, owocami, szampanem... Dziewczyna nie chciała tknąć niczego, lecz wkońcu skusiła się, uległszy namowom i prośbom towarzysza, tak, że skosztowała skrzydełko kury i wypila jeden czy dwa kieliszki tego słodkiego wina... Jaki ogień poczuła w zylach! Jak pragnęła poruszać się, śmiać, mówić głupstwa! Teatr jaśniał,

jak płomień; czarne oczy Jerzego błyszcząły, jak zarzewie.

— Boże mój! Druga!... — wykrzyknęła naraz, spoglądając na zegar. Już późno, Jerzy, trzeba wracać...

— Ale kiedy ciotka powróci dopiero koło czwartej...

— Nie, Jerzy, nie, przez litość...

Niespodziany, niezrozumiały strach przejął dziewczynę. Chciałaby już teraz wyjść z teatru, iść milczącymi ulicami, wsparta na ramieniu młodzieńca, i schronić się w swoim zacisznym pokoiku... Dopiero chłodny wiew i cisza nocy uspokoiły ją. Idąc ku domowi w cieniu ogromnych pałaców, spoglądała ku jasnym gwiazdom, które, mrugając, pierzchały z wolna z horyzontu; chciałaby nie dojść nigdy do domu. Jerzy, objąwszy ją w pól, całował jej rękę, mówił, że była piękna i miła, jak żadna inna; a gdy protestowała, przypominając olśniewające damy wielkomięjskie, zapewniał ją, że tante były próżne, nienaturalne, fałszywe i nie warte, by je kochać. Ona jedna była naprawdę godna miłości...

— Doprawdy? Nie okłamujesz mnie?...

Dziewczyna była niepomiernie zdziwiona i nieskończenie szczęśliwa. Głos jej brzmiał rozcucieniem i była tak prostoduszna, że Jerzy wzruszył się prawie do łez.

— Ty jedna mi się podobasz. Ciebie jedną lubię...

Zatrzymali się przed kapliczką, gdzie w niepewnym świetle błękitnego płomyka słodka Madonna uśmiechała się do swego boskiego Dziecięcia. Młodzieniec poszukał ust Rosetty; ta jednak oparła mu się, usuwając się, drżąca.

— Ty mnie nie lubisz, Rosetto. Może kochasz innego...

— Ja? — dziewczę otworzyło szeroko oczy.

— No, to pozwól się pocałować...

— Przysięgnij, że naprawdę mnie lubisz. Przysięgnij przed tą Madonną...

Jerzy nie wahał się: w tej chwili był zupełnie pewny, że kocha i pragnie jej tylko... A gdy przysiągł, przycisnął dziewczynę do piersi, całował jej usta długo, czyniąc ją nawpółprzytomną z miłości i szczęścia...

Słodki był sen—gorzkie przebudzenie...

Około południa następnego dnia, księżna wezwała do siebie Rosettę, wraz z ciotką.

— Gdzie byłaś dzisiejszej nocy?... Nie kłam... Młody książę, syn mój, wyznał mi wszystko...

Księżna była blada, chuda i koścista, podobna do sędziego, gotowego wydać okrutny wyrok.

— W nocy, wracając z teatru, zawołałam na ciebie. Nikt mi nie odpowiedział. Poszłam do twojego pokoju: łóżko stało nieporuszone. Przecież tyś nie powinna była wychodzić. Anno, powiedzcie: czyż nie tak umówiliśmy się?...

Ciotka, oniemiała ze zdumienia i przerażenia, nie odpowiedziała nic i tylko poruszała swą siwą głową na znak potwierdzenia...

— A ty, dziewczyno, zamiast spełnić swój obowiązek, uciekłaś... Tak, uciekłaś z domu nocą, w masce z młodzieńcem... Poznał was odźwierny, gdy wracaliście przez park. Wstyd!

Co mogła odpowiedzieć Rosetta? Nic. Już nic nie rozumiała. Nie miała sił się bronić. Jej samej teraz ukazał się w całej pełni ogrom winy. Rozplakała się.

— Jeszcze płaczesz teraz? To już zbyt wiele, zupełnie. Jutro wrócisz do matki...

Ciotka, szlochając, prosiła, błagała, lecz napróżnol. Zresztą księżna wydała dziewczynę nie poto, aby ją ukarać, ile raczej dlatego, aby uniknąć większe-

go niebezpieczeństwa i narzekania: przecież i ciotka winna być z tego zadowolona...

Rosetta wyjechała; wróciła do domu rodzicielskiego. Nie powiedziała prawdy, dlaczego wróciła. Milczała także ciotka, a księżna, naturalnie, nie napisała. Matka była zadowolona, patrząc na powrót najmłodszej córki, jako na dowód przywiązania do siebie. Ojciec, pomruczawszy kilka dni, pogodził się z faktem. Co zaś do sióstr i braci, to ani ich to ziębiło, ani grzało. Nikt nie odczuł małego dramatu, jaki rozegrał się w sercu dziewczyny, oszukaanej i zawiedzionej.

Chociaż, wyjeżdżając, Rosetta nie mogła rozmówić się z Jerzym, jednakże w pierwszych dniach była pewną, że będzie chciał odszukać ją lub, co najmniej, przysłać jej list, by potwierdzić obietnicę i zaprzysiężoną miłość. Tygodnie jednak mijały, a Jerzy nie przybywał, nie przysyłał listu. Poczęła wątpić i bać się... Czyżby więc tak prędko zapomniał o wszystkim?... A może to wszystko z jego strony było tylko kaprysem?... Ale przysięgi... Czyżby więc mężczyźni byli tak fałszywi i wiarołomni, nawet i książęta?...

Biedna Rosetta! Myśli jej rozpraszały się tem więcej, im bardziej chciała je uporządkować. I jedynie wtedy były posłuszne, gdy pozwalała im pobujać w powietrzu, gonić obłoki, uciekające ku miastu, gdzie pozostał przedmiot jej miłości...

Minęło kilka miesięcy. Dziewczyna plakała teraz coraz częściej: nocą, pod niebem, roziskrzonym gwiazdami; w ranki przejrzyste, nad zwierciadłami wód; o zachodzie słońca, gdy dolina przesłaniała się cieniem i mgłą. Plakała, lecz nie tak, jak przed wyprawą do miasta, z utajonej błogości: — teraz wiedziała już coś o tem, dlaczego plakała.



SPIS RZECZY:

	str.
Czerwona książeczka	3
Obowiązek lekarza	15
Światło przeciwka	50
Zbrodnie mężczyzn	63
Umarły wśród żywych	82
Tarantella Carmeliny	93
Piegża-Czarnogłówka	109
Małżonkowie, godni zazdrości	130
Sen i przebudzenie Rosetty	147

Prenumerata Biblioteki Groszowej

Kwartalnie z przesyłką pocztową	zł. 9 gr. 95
Miesięcznie z przesyłką pocztową	„ 3 „ 35
W oprawach, kwartalnie	„ 13 „ 95
„ „ miesięcznie	„ 4 „ 80

Oprawne egzemplarze posiadamy w ograniczonej ilości i, o ile zapas starczy, nie prenumeratorzy otrzymywać mogą oprawne tomy po 1 zł. i 45 gr. za tom.

Prenumeratory otrzymują perjo-
dycznie jako dodatek bezpłatny „Bajki
Polskie w opracowaniu St. Dzikow-
skiego z ilustracjami Nortlina, Bajki
Czarskiej, ilustrowane „Obozownict-
wo“ i inne.

Prenumeratę prosimy wnosić na
nasz rachunek w P.K.O. № 11140.

Należność za prenumeratę, może
być na życzenie, pobrana za zalicze-
niem pocztowym t. j. będzie wręczo-
na pocztyljonowi przy odbiorze pierw-
szego tomu danego kwartału z doli-
czeniem kosztów za zaliczenie.

Wszelkie korespondencje związa-
ne z prenumeratą prosimy adresować
Biblioteka Groszowa S. z o. o.

Warszawa, ul. Moniuszki 11.



18
26

20
480
480
5280



10
/

jednego

jednego

obreg

L

۱۲۰۰

AD-3350